

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom II Filie obozu Gross-Rosen

Zeszyt 8 -Komando Gassen
-Komando Halbau
-Komando Breslau-Lissa
-Komando Bolkenhein
-Komando Aslau

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel.296943**

Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1989.

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Duchowa, Witold Kulisiewicz - Kierownik
Zespołu Redakcji, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna, Zdzisław Rażł,
Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman - sekretarz Redakcji,
Kazimierz Zamojski



1028/lw

przy współpracy:

Tadeusza Berny /Wrocław/, Michała Czebłakowa, Romana Gierki /Oborniki/,
Jadwigi Gromackiej, Romana Konarzewskiego /Poznań/,
Stanisława Korby /Kielce/, Jana Kosińskiego i Mieczysława
Kwietnia /Lublin/, Edmunda Nawra /Bydgoszcz/, Stanisławy Nowak-
Kozuchowskiej, Henryka Króla /Jelenia Góra/, Marii Więckowskiej-
Malec, Janusza Marczyńskiego, Zbigniewa Mazurka /Wrocław/,
Zygmunta Mikołajczyka - prezesa Klubu Gross-Rosen, Alojzego
Nowickiego /Inowrocław/, Tadeusza Piorkowskiego, Bogdana
Wierzejewskiego, Leszka Wolińskiego /Ząbkowice Śl./, Julii
Wroczyńskiej

Projekt okładki: Włodzimierz Kern

SPIS TREŚCI

Od Redakcji

Autorzy wspomnień II-go Tomu "Przeżyliśmy Gross-Rosen"

I - <u>Komando Gassen</u>	str
Stefan Pala - Filia obozu Gross-Rosen w Gassen	7
Tadeusz Drzewudzki - Wspomnienia z Gassen.....	11
Władysław Refermat - Wolność w Górach Rudawskich...	16
Henryk Polak - Okrutna droga do wolności.....	21
Eugeniusz Wroniecki - Przeszedłem piekło ognia.....	27
Leszek Woliński- Takiej zbrodni nie można zapomnieć.	32
Jan Walaszczyk -...Żyłem ! To był mój pierwszy dzień wolności	35
Henryk Uchman - Częściowy wykaz więźniów	37
 II - <u>Komando Halbau</u>	
Stanisław Olesiński - Pobyt w Halbau.....	40
Zygmunt Stempkowski - Filia Gross-Rosen-Halbau.....	43
Feliks Mischak - Moje wspomnienia z Halbau.....	49
Józef Ramotowski - Pamiętam Halbau.....	53
Henryk Uchman - Częściowy wykaz więźniów.....	55
 III - <u>Komando Breslau -Lissa</u>	
Piotr Wojciszewski - W Breslau-Lissa.....	59
Witold Wiśniewski- Komando Breslau-Lissa filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen....	61
Henryk Uchman -Częściowy wykaz więźniów.....	69
 IV - <u>Komando Bolkenhein</u>	
Leopold Sokołowski - Filia obozu Gross-Rosen- Bolkenhein.....	72
 V - <u>Komando Aslau</u>	
Jerzy Szrajber - Z Radogoszcza-Gross-Rosen-Aslau do wolności.....	77

Wspomnienia więźniów z pobytu w filiach obozu w II Tomie "Przeżyliśmy Gross-Rosen przedstawione w Zeszytach Nr 8 kończą cykl wydawniczy, choć zdajemy sobie sprawę, że jeszcze brak relacji wspomieniowych z wielu podobozów. Jest to 24 kolejny Zeszyt wydawnictwa,

Zamieszczamy w nim wspomnienia dotyczące 5-ciu filii Gross-Rosen. Oto krótka charakterystyka losów więźniów :

Komando Gassen - zlokalizowane w pobliżu Jasienia. Więźniowie pracowali przy produkcji części lotniczych w fabryce "Focke-Wulf". W lutym 1945 roku ewakuowano więźniów pieszym transportem do Lipska i umieszczono ich w komando Thekla i Erla obozu Buchenwald. W tej podróży wielu zmarło lub zostało zabitych na szlaku. W kwietniu nastąpiła dalsza ewakuacja, która zakończyła się w Górach Rudawskich. Chorych pozostawionych w obozie Thekla spotkał los okrutny, gdyż barak z chorymi obłano benzyną i podpalono.

Komando Halbau położone w pobliżu Iłowy. Tutaj więźniowie pracowali w fabryce Winklera przy produkcji śmigieł samolotowych "Ju-88" i "Henkiel-111". Od 12 lutego 1945 roku rozpoczęto ewakuację więźniów częściowo pieszo i koleją. Podróż trwała ponad miesiąc, bo 20 marca dopiero więźniowie dotarli do Bergen-Belsen. Na tym szlaku poniosło śmierć kilkuset więźniów.

Komando Breslau-Lissa obecnie Wrocław-Leśnica. Więźniowie pracowali przy obsłudze koszar wojskowych, poligonu i magazynów amunicyjnych. Część więźniów pracowała przy budowie dróg. (firma Paul Urbansky). Ewakuacja więźniów rozpoczęła się 23 stycznia 1945. Ciągnąc wozy więźniowie dotarli do obozu centralnego Gross-Rosen, a w pierwszych dniach lutego wywieziono ich transportem do obozu Buchenwald. I oni licznie ginęli w transporcie ewakuacyjnym.

Komando Bolkenhein zlokalizowane między Bolkowem a Wolbroniem (Wolmsdorf). Więźniowie przeważnie narodowości żydowskiej z Polski, Niemiec, Czech, Francji pracowali w Vereinigte Deutsche Metallwerke przy produkcji części lotniczych. Około 14 lutego 1945 roku rozpoczęto pieszą ewakuację więźniów w kierunku Jeleniej Góry. Tam w obozie Komanda Hirschberg połączono w jedną grupę i transportowano do Rottenburg-u. Dalej koleją około 7 marca dowieziono transport do Buchenwaldu. Ciężkie warunki w obozie, trudy marszu i podróży do Buchenwaldu spowodowały śmierć wielu więźniów.

Komando Aslau- obóz zlokalizowany w lesie w pobliżu wsi Aslau obecnie Osla. Więźniowie pracowali w zakładach FAMO (Fahrzeug u. Motorenwerk) przy montażu samolotów bojowych i przy pracach pomocniczych wyładunek i załadunek części, przy budowie miejscowego lotniska. Ewakuację rozpoczęto 11 lutego 1945 roku marszem pieszym do Bunzlau, a później do Dory-Mittelbau, gdzie przebywali więźniowie do 16 marca 1945 roku. W dalszej ewakuacji więźniowie dotarli do Bergen-Belsen. Pozostawieni na rewirze chorzy w komando Aslau zostali wyzwoleni około 17 lutego 1945 roku przez wojska radzieckie.

Ogółem w Tomie II "Przeżyliśmy Gross-Rosen" są zamieszczone wspomnienia więźniów z 15 filii obozowych, przy pomocy 77 autorów prac wspomieniowych. Dzięki ich pomocy mogliśmy chociaż w skróceniu pozostawić autentyczną prawdę o podobozach Gross-Rosen.

W miarę naszych możliwości z wielką pracochłonnością straliśmy się dołączyć dla każdej filii wykaz częściowy więźniów komanda. Częściowe wykazy więźniów objęły losy 4000 nazwisk więźniów z tych 15 filii obozowych.

Redakcja dziękuje wszystkim autorom i korespondentom, oraz rodzinom kolegów zmarłych, za przekazanie materiałów wspomieniowych, listów obozowych, danych uzupełniających z troską o wzbogacenie autentycznej treści historycznej.

Nadesłane prace nie zamieszczone w Zeszytach będą przekazane do Państwowego Muzeum Gross-Rosen - do ewentualnego wykorzystania w dalszych publikacjach.

AUTORZY WSPOMIEN Z FILII OBOZU ZAMIESZCZONYCH W II TOMIE:

Stefan Amanowicz-Zeszyt 7, Bogdan Banaszewski-Zeszyt 6, Zdzisław Brodzki-Zeszyt 2, Zygmunt Czerwiński-Zeszyt 2, Zygmunt Dondziło-Zeszyt 3, Franciszek Drożdż-Zeszyt 3, Tadeusz Drzewudzuki-Zeszyt 8, Adam Dzierwa-Zeszyt 5, Tadeusz Fabiański-Zeszyt 2, Kornel Gibiński-Zeszyt 7, Edward Ginalski-Zeszyt 6, Ignacy Głogowski-Zeszyt 1, Kazimierz Godorowski-Zeszyt 1, Antoni Grzaka-Zeszyt 1, Adam Grząski-Zeszyt 4, Tadeusz Hercog-Zeszyt 4, Kazimierz Jankowski-Zeszyt 7, Marian Karczewski-Zeszyt 6, Janusz Karpiński-Zeszyt 1, Jerzy Kądziałowski-Zeszyt 4, Kazimierz Kisielewicz-Zeszyt 5, Franciszek Knapp-Zeszyt 6, Józef Kobylński-Zeszyt 2, Wacław Kolenda-Zeszyt 2, Roman Konarzewski-Zeszyt 5 i 7, Tadeusz Koral-Zeszyt 7, Stanisław Korba-Zeszyt 4, Jan Kosiński-Zeszyt 3, Leonard Kosiński-Zeszyt 2, Henryk Król-Zeszyt 3, Stanisław Kuczewski-Zeszyt 4, Jan Kwit-Zesz. 7, Mieczysław Liskiewicz-Zeszyt 5, Jan Łysek-Zeszyt 6, Zdzisław Makowski-Zeszyt 4, Stefan Malinowski-Zeszyt 6, Zbigniew Marianański-Zesz. 5, Stefan Miernik-Zeszyt 3, Stanisław Miętek-Zeszyt 3, Stanisław Milczarek-Zeszyt 1, Feliks Miszczak-Zeszyt 8, Stanisław Olesiński-Zeszyt 8, Roman Olszyna-Zeszyt 5, Stefan Pala-Zeszyt 8, Edmund Pawlak Zeszyt 5, Tadeusz Piechowicz-Zeszyt 2, Henryk Polak-Zeszyt 8, Kazimierz Ptaszyński-Zeszyt 3, Jerzy Przybyłek-Zeszyt 2, Stanisław Rajski-Zeszyt 5, Zdzisław Rałk-Zeszyt 1, Józef Ramotowski-Zeszyt 8, Leon Rawecki-Zeszyt 7, Władysław Refermat-Zeszyt 8, Czesław Reszko-Zeszyt 4, Andrzej Romanow-Zeszyt 2, Stanisław Ruman-Zeszyt 2, Eugeniusz Ruszkowski-Zeszyt 4, Władysław Sankowski-Zeszyt 6, Leopold Sokołowski-Zeszyt 8, Rudolf Stary-Zeszyt 7, Zygmunt Stempkowski-Zeszyt 8, Andrzej Szokalski-Zeszyt 7, Edmund Szenkowski-Zeszyt 2, Jerzy Szrajber-Zeszyt 8, Czesław Szymański-Zeszyt 5, Jerzy Tęsiowski-Zeszyt 6, Edward Tomala-Zeszyt 6, Henryk Uchman-Zeszyt 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, Bolesław Usarewicz-Zeszyt 5, Andrzej Waksmundzki-Zeszyt 7, Jan Walaszczyk-Zeszyt 8, Piotr Wojciszewski-Zeszyt 8, Antoni Wojnarowicz-Zeszyt 6, Konrad Wojtas-Zeszyt 6 i 7, Leszek Woliński-Zesz. 8, Eugeniusz Wroniecki-Zeszyt 8, Władysław Zyśk-Zeszyt 6.

FILIA OBOZU GROSS-ROSEN W GASSEN
OBECNIE JASIEŃ WOJ. ZIELONOGÓRSKIE

Podobóz Gassen /Jasień/ powstał dla potrzeb pracujących w przemyśle zbrojeniowym zakładów metalurgicznych w mieście. Profil zakładów decydował o przydatności robotników-więźniów. Do Gassen kierowano przede wszystkim więźniów posiadających zawód ślusarza lub tokarza. Podobóz zlokalizowano za miastem w odległości 1 km od ostatnich zabudowań oraz wiaduktu kolejowego po lewej stronie obecnej szosy Jasień - Wicina.

Ilość więźniów w latach 1944-1945 wahała się od 700 do około 1.000 osób zasiedlonych w 4 barakach. Komendantem obozu był Oberscharführer Walter Knopp. Podlegali mu podoficerowie SS Müller oraz Dauterman.

W obozie przebywali: Rosjanie, Czesi, Rumuni, Francuzi, Niemcy, Włosi, Węgrzy, Grecy, Serbowie, Litwini, głównie zaś Polacy.

Na początku października 1944 r. przybył do Gassen pierwszy transport około 200 więźniów przeważnie politycznych. Przywieziono nas w trzech wagonach towarowych i zakwaterowano w 4 barakach, które posiadały prowizoryczne ogrodzenie z siatki.

Grupę naszą umieszczono w jednym baraku. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Krążyły wśród nas różne mylne pogłoski. Powodem naszego niepokoju był brak ogrodzenia obozowego, jakie było w obozie Gross-Rosen. Sprawa wyjaśniła się na drugi dzień.

Na rannym apelu komendant obozu Oberscharführer Walter Knopp zapoznał nas z tym, co nas czeka. Nasza grupa miała za zadanie przebudowę przez nas obozu dla wymagań obozu koncentracyjnego. Ponieważ poprzednikami naszymi w tym obozie byli angielscy jeńcy wojenni, posiadający jakie takie warunki, należało je zmienić i dostosować do "rangi" nowych lokatorów, jakimi byliśmy my oraz następne grupy.

Praca nasza polegała na instalowaniu ogrodzenia obozu i przeróbkach wewnątrz baraków. Zadaniem grupy w której pracowałem było założenie przepisowych drutów podłączonych pod sieć elektryczną. Naprzeciwko nas siedzieli na stołkach wachmani z bronią wycelowaną w nasz kierunek. Było to ich zdaniem konieczne z uwagi na to, że bloki nasze przez wiele dni nie były wogóle ogrodzone.

Naprzeciwko mnie siedział SS-man, który bez przerwy kłął na Hitlera i na wojnę. Nie wiedziałem i nie miałem odwagi poprosić go o papierosa. Ale Niemiec jakby wyczuł moje intencję i sam mnie zaproponował rzucając w moim kierunku papierosa.

Był owinięty na szyi grubym szalem tak, że odnosiło się wrażenie, że nie ma szyi. Kiedy zapaliłem papierosa Niemiec się rozgadał. Dowiedzieliśmy się od niego, że jest austriackim wiedeńczykiem, śpiewakiem operowym. Został wcielony do warmachtu, a następnie przeniesiony do SS i straży obozowej. Bardzo było mu smutno, że musi na to patrzeć co dzieje się w obozie.

Przez kilka dni tak się ustawiał, że siedział naprzeciwko nas i opowiadał nam o Wiedniu i swojej pracy w operze. Były to dla nas tak zwane lekkie dni kiedy słuchając go przenosiliśmy się w świat marzeń.

Po trzech tygodniach ten "niezręczny" SS-man zniknął z obozu. Później pracowaliśmy w fabryce. Zostaliśmy podzieleni na dwa baraki. Po rozbudowie obozu baraki zostały ponumerowane od 1 do 4. Po dwóch tygodniach, po zakończeniu przez pierwszą grupę robót porządkowych, w końcu października przybył następny transport siły roboczej z Gross-Rosen w liczbie około 400 więźniów. Rozpoczął się nowy etap pracy w fabryce maszyn rolniczych. W ostatnich latach wojny przystosowano ją do produkcji elementów i zespołów dla niemieckiego lotnictwa. Fabryka była podwykonawcą znanych powszechnie zakładów Focke-Wulff. Codziennie byliśmy grupami doprowadzani do fabryki na tak zwany "egzamin", który odbywał się w hali nr.2. Stało tam kilka stołów warsztatowych, przy każdym stole było około 10 stanowisk i tyle imadeł. Do egzaminu staliśmy w kolejce. Egzaminy podchodził do imadła, w którym była ściśnięta bryła metalu. Egzaminatorem był Niemiec-fachowiec i ktoś ze straży SS. Należało spiłować kawałek metalu, a następnie określić suwmiarką wymiary bryły. "Przy zakupie" nas w Gross-Rosen za ślusarzy podawali się nawet dorożkarze warszawscy, licząc, że wyjazd na komando ulży ich losowi. Wynikały z tego bardzo smutne incydenty.

Niemcy zwracali uwagę z całą drobiazgowością, jak się trzyma pilnik, jak się nim piłuje, no i oczywiście, czy potrafi się podać wymiary obliczone suwmiarką. Wielu kolegów egzamin ten zapłaciło biciem. Bito nas w rogu hali, zasłoniętym metalowymi ściankami, gdzie odbywało się spawanie metali. Kto nie przeszedł przez egzaminacyjne sito, dostawał tęgie lanie, a wielu odesłano do obozu w Gross-Rosen.

Tymczasem wyznaczono więźniów na funkcyjnych: kapo, oberkapo oraz sztubowych. Lagerältestem został Peter Klein /Niemiec/. Przyjechał z nami, pierwszym transportem z nominacją na swoją funkcję. Szczególnie wielkim sadyzmem odznaczał się oberkapo Lucjan Wujek z Poznania i kapo "Jurek" Ziółkowski z Łodzi. Później, kiedy dojechał trzeci transport, wyłoniła się jeszcze jedna szuja - kapo, obywatel rumuński, doskonale mówiący po polsku. Na jednej sztubie było nas 18 osób a wśród nas tylko jeden ślusarz - mechanik znajomy mój jeszcze z wolności Mieczysław Michta. Zawdzięczając Michcie uniknęliśmy bicia i zostaliśmy ślusarzami, gdyż po pracy, a były to początki i pracowaliśmy wtedy przy grodzeniu baraków - prowadzi z nami wykłady oczywiście w krótkim zarysie jak należy piłować metal, posługiwać się suwmiarką a nawet czytać rysunki techniczne.

Były to jakby małe formy samoszkolenia zawodowego w obozie.

W tym czasie w naszej grupie pracował przybyły późniejszym transportem dyrygent Filharmonii Warszawskiej. Niestety nazwiska nie zapamiętałem. Transport ten liczył około 400-tu osób. Więzień ten posiadał typową sylwetkę - był wysoki, chudy, w okularach z oprawy drucianej. Miał lat około 40 i był lekko łysy.

Mieliśmy to wielkie szczęście przebywania z nim na jednej sztubie przez okres około 2 miesięcy.

Pracowaliśmy w fabryce na jednej zmianie przy produkcji elementów nośnych do samolotów bojowych Focke-Wulff.

Był on takim samym ślusarzem jak i my. To dzięki niemu nasz los stał się o wiele lepszy. Opowiadał nam on o swojej pracy, o kierowaniu wielkim zespołem instrumentalistów. Od niego dowiedziałem się jak należy rozumieć muzykę poważną, jak powstawały poważne utwory i kto był twórcą poważnych i klasycznych dzieł muzycznych.

Człowiek ten władał kilkoma językami i mówił piękną, czystą niemieczyną. Niemcy podziwiali tą jego niemieczyną i z chęcią z nim rozmawiali. Chcąc usatysfakcjonować postanowili mianować jego blokowym. Kazali mu krzyczeć na więźniów, ale on krzyczeć nie umiał.

Jego poetycka dusza nie potrafiła mówić podwyższonym głosem. I to ich drażniło.

Dali jemu kij do ręki i kazali bić więźniów. Ale on też bić nie potrafił. Pewnego dnia "Jego nauczyciele" postanowili nauczyć go funkcji na własnej osobie. Wzięli od niego kij i zaczęli nim bić jego. Gdy upadł na ziemię bili go dalej we czterech gdzie po-
padło. Pomagali sobie przy tym obcasami. Słyszeliśmy tylko opraw-
ców wrzaski i jęki tego szlachetnego człowieka. Wkrótce zmęczeni
i wyczerpani odeszli, a on został leżący. Tak zginął na miejscu
zamordowany dlatego, że nie umiał i nie chciał krzyczeć i bić swo-
ich towarzyszy niedoli.

W fabryce pracowaliśmy na dwie zmiany po 12 godzin. Praca była ciężka i w warunkach bardzo trudnych. Był to okres bardzo mroźnej zimy. Kiedy było jeszcze względnie ciepło, dostaliśmy płaszcze-pa-
siaki, natomiast kiedy przyszedł mrozy, płaszcze te nam zabrano.

W baraku było wiele sztab, a w każdej około 20 więźniów. Sztaby były nie ogrzewane, choć stały w nich żelazne piece. W fabryce przy warsztatach mieliśmy pod nogami deski, które izolowały stojącego od betonu. Deski te ukradkiem rąbaliśmy i pod marynarkami przemyca-
liśmy do baraków. SS-mani i kapo usilnie wyszukiwali więźniów prze-
noszących drewno. Więzień taki otrzymywał 50 batów 3-żyłowym kab-
lem, a otrzymywane uderzenia musiał liczyć. Kończyło to się w po-
łowie bicia utratą przytomności. Więzień po biciu trafiał prosto do
rewiru, gdyż sam to przeszedłem.

W grudniu zdarzył się pierwszy wypadek ucieczki więźnia. Wra-
caliśmy z dziennej zmiany z fabryki. Było już ciemno. Na trasie
z fabryki do obozu uciekł więzień - Litwin. Droga ta, mimo ogrodze-
nia z drutu kolczastego, była jedyną możliwością ucieczki. Po wyj-
ściu na plac apelowy i odliczeniu nas Niemcy zorientowali się że
brak jednego więźnia. Nietrudno było ustalić, kto uciekł. Straż
obozowa wraz z kapo została zmobilizowana do poszukiwań, natomiast
cała nasza zmiana została na placu apelowym w pozycji "kniebeug",
a następnie po kilku godzinach "stilgestand". Po około 4 godzinach
zbiegłego więźnia złapano i doprowadzono na plac apelowy. Musieliś-
my być świadkami okrutnego sadyzmu Lagerälteste Petera Kleina który
znęcając się nad uciekinierem, powalił go na ziemię, a następnie
łamał mu obcasami żebra. Po półgodzinnym znęcaniu się nad nim wię-
zień nie dawał znaku życia. Wtedy dopiero rozpuszczono nas do blo-
ków, lecz za karę nie dostaliśmy kolacji. Kiedy już leżeliśmy na
pryczach, usłyszeliśmy strzał. Później się dowiedzieliśmy, że ucie-
kinier resztą swoich sił rzucił się na przechodzącego Lagerälteste-
ra i chciał go udusić. Przeszkodził temu Rapportführer Müller, który
więźnia zastrzelił.

Kiedys zdarzył się następujący wypadek. Był słoneczny i dość
ciepły dzień niedzielny. Niemcy podzielili nas na grupy narodowoś-
ciowe i kazali nam śpiewać pieśni narodowe. My, Polacy śpiewaliśmy
jak zawsze "Górala", Czesi swoje polki, a Rosjanie zaśpiewali pieśń
w treści której były słowa ... "z nami Stalin radno". Na słowo
"Stalin" Niemcy zbaranieli. Pisarz Wołodia, chcąc ratować sytuację
wytkumaczył im, że Rosjanie w piosence potępiają Stalina za ich
los. Odetchnęliśmy. Oni uwierzyli, a mogło być źle.

Ciężka praca w nieogrzewanych halach fabrycznych, przebywanie
po pracy w zimnych "sztabach" oraz głodowe odżywianie powodowały
wiele chorób. Zaczęła się szerzyć biegunka. Po trzech lub pięciu
dniach tej choroby więzień przeważnie umierał. W ten sposób zginęło
wielu więźniów.

Na początku stycznia 1945 roku zdarzyła się druga ucieczka. W
drodze z fabryki do obozu uciekło 2 więźniów Jugosłowian. Poszukiwa-

nie ich przez Niemców było początkowo bezskuteczne. Dopiero po kilku dniach więźniów znaleziono. Ukrywali się oni w barakach cywilnych robotników, które stały niedaleko obozu. Więźniów tych najpierw zbito, a następnie na placu apelowym ustawiono na stole w pozycji półprzysiadu. Założono im na piersi tablice z napisem "aus der Reise zurück bin ich, wider da" /z podróży wróciłem z powrotem/. My musieliśmy chodzić wokół nieszczęśnych, a "sztubowy" biciem łyżką w wiadro, utrzymywał rytm marszu.

Pod koniec stycznia zaczęto likwidować urządzenia fabryczne. Demontowaliśmy maszyny i ładowaliśmy je na wagony, narzędzia pakowaliśmy do skrzyń.

Przy pakowaniu młotków do zbijania blachy ktoś wpadł na pomysł, że łyby tych młotków są "jadalne". Były one ze skóry, nasyczone jakąś twardą substancją żywiczną. Po położeniu takiego młotka na gorącą blachę pieca, łyb rozwijał się i smażył jak skóra od słoniny. W ten sposób zjedliśmy wiele młotków.

W pierwszych dniach lutego 1945 r. słyszeliśmy dalekie detonacje wystrzałów artyleryjskich. Były to odgłosy budzące nadzieje. Zbliżała się Armia Radziecka.

W dniu 15 lutego o godz. 5.00 rozpoczęła się ewakuacja więźniów. Prowadzono nas w kierunku Żagania.

W odległości 1 km od Bad Muskau, w lesie zatrzymano kolumnę więźniów dokonania selekcji. Słabych, którzy nie mogli iść wyciągano z szeregów, prowadzono do lasu i tam rozstrzeliwano. Zastrzelono ponad 300 więźniów. Las ten do tej pory kryje swoje tajemnice.

Wędrówka nasza trwała około 2 tygodni. Pędzono nas w kierunku Lipska. Byliśmy dziesiątkowani z głodu i przez choroby.

Ostatni odcinek do Lipska przebyliśmy w wagonach towarowych. W Lipsku SS-mani otworzyli wagony, z których wysiedliśmy skostniałi. W wagonach pozostała 1/3 naszych kolegów, zmarłych z wycieńczenia.

Widziałem to sam. Kiedy wyskakivaliśmy z wagonów wypadały wraz z nami zwłoki współwięźniów. Smutny korowód żyjących półtrupów maszerował w silnej eskorcie do obozu Lipsk-Tekla na dalszą niedolę. W kwietniu 1945 roku nastąpiła dalsza ewakuacja, która jeszcze bardziej zdziesiątkowała więźniów z Gassen.

Spośród kolegów, którzy przeżyli i z którymi wspólnie przebywałem w Gassen, pamiętam najlepiej Stefana Wielądka, wielokrotnie maltretowanego i bitego przez kapo i Niemców. Jego najbardziej pamiętam, ponieważ byliśmy w jednej "sztubie" i trzymaliśmy się razem do Lipska. Poza tym przebywali ze mną koledzy: Mieczysław Michta oraz Czesław Trzewiczek i Stefan Dynakowski.

W wyniku moich starań, w których pomagał mi kol. Jan Machałowski oraz dzięki pomocy władz miejskich i politycznych miasta Jasień /dawniej Gassen/ odsłonięto obelisk upamiętniający martylorogię więźniów Gassen. Obeliskiem tym i miejscem byłego obozu opiekuje się młodzież szkolna Fabryki Maszyn Budowlanych "Zremb".

Młodzież i Dyrekcja tej fabryki została uhonorowana pamiątkowym medalem, przyznany przez Szefa Urzędu Rady Ministrów Janusza Wieczorka - Przewodniczącą Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa.

We wrześniu 1978 r. wraz z innymi kolegami byłem przesłuchiwany przez Sąd Przysięgłych w Kolonii na okoliczność popełnionych mordów przez byłego komendanta Waltera Knoppa.

Odpowiada on za udział w wymordowaniu 157 naszych kolegów, którą to liczbę określa akt oskarżenia, ale wiemy, że zginęło dużo więcej naszych kolegów. Wyrokiem Sądu Przysięgłych w Kolonii, w dniu 2 lipca 1979 roku był komendant podobozu Gassen Walter Knopp skazany został na dziewięć lat więzienia.

Nr. archiwum Gross-Rosen 3.17.3.1.

WSPOMNIENIA Z GASSEN

Obóz w Gassen był usytuowany w lesie o ponad 2 km od fabryki w której pracowaliśmy. Drogę tę przemierzaliśmy codziennie do fabryki i z powrotem eskortowani przez gęsto obsadzonych esesmanów. Jednym z nich był młody lotnik, instruktor na jednej z brygad sąsiadującej z brygadą w której ja pracowałem. Bardzo podły i okrutny w stosunku do więźniów, bił przy byle okazji. Był postrachem dla całej zmiany. Mało mu było wyżywania się nad więźniami w fabryce to jeszcze pomagał odprowadzać więźniów z całej zmiany do obozu i tam popisывał się swoim sadyzmem, bił przy byle wychyleniu się z kolumny i szczuł psem, dużym wilczurem który był jego własnością.

Przeciwnieństwem tego sadysty był również młody podoficer, który okazał się człowiekiem. Był on instruktorem tej brygady w której ja pracowałem. Ten młody niemiecki żołnierz był wyjątkowo dobrym człowiekiem, nie bił nas, nie popędzał do roboty, prawie codziennie rozkładał bochenek chleba wojskowego /sądze że był to jego przydział/ na kilka kromek i chodząc między nami podsuwał nam skrycie żeby nikt nie zauważył po kromce chleba. Dla nas miało to ogromne znaczenie.

Wiadomo w obozach racje żywnościowe były głodowe, zubożało je jeszcze bardziej okradanie przez więźniów funkcyjnych i kapo.

Było to którejś styczniowej niedzieli, komendant obozu zarządził rewizję w celu ujawnienia zasobów kradzionej żywności zmagazynowanej w sztubach Kapo i funkcyjnych. Następnie zarządził apel obozu i przed całą kolumną więźniów przemaszerowali funkcyjni i kapo niosąc na naręczach, chleb, wędlinę, margarynę z okradanych porcji dla więźniów. Więźniowie widząc to z wielkim oburzeniem wyzywali i złościli im, co który odważniejszy wybiegał by uderzyć któregoś z nich. Tego dnia kradzona więźniom żywność wróciła do nich jako dodatek do normalnej porcji. Co chcieli osiągnąć tym gestem esesmani nie umiem sobie wytłumaczyć.

Zasadniczym ogrzewaniem hal fabrycznych było ogrzewanie nawiewne które często nie funkcjonowało i niewystarczająco nagrzewało bo hale były ogromne. Toteż w wielu punktach hali były żelazne lub kaflowe piece węglowe, przy których leżały pewne ilości brykiet którymi były one opalane. Brykiety te więźniowie podkradali przenosząc pod pasiakami do obozu gdzie ogrzewano nimi sztuby w takich samych piecach żelaznych. Gdy kilku przyniosło po 2 - 3 brykiety to można było trochę ogrzać sztubę gdzie najczęściej temperatura była poniżej zera.

Zdarzyło się, że po powrocie do obozu podczas apelu po kilkakrotnej komendzie "mytze ab, mytze auf", kazano wyrzucić wszystkie brykiety. Wyrzuciliśmy lecz nie wszyscy, a była tego spora przyzma. Po zakończeniu wyrzucania Lagerführer /komendant obozu/ Walter Knop kazał kapom przeprowadzić rewizję osobistą każdego więźnia. Każdy u którego znaleziono jeszcze chociażby jedną brykieta odstawiony został na bok. Było tych ryzykujących o ile mogą sobie przypomnieć ponad 10 osób. W okrutny sposób zostali bici przez kapo a szczególnie w biciu tym wyróżniał się Lagereltester /niemiecki kryminalista/, który bił przeważnie łokciem w żołądek. Odebrany

węgiel kazano przenieść do komendantury. Więźniowie nadal wynosili węgiel z fabryki bo zimno było nie mniej dokuczliwe jak bicie.

Innym razem, a było to w drugiej połowie stycznia, zmiana na której ja pracowałem wyszła do pracy na noc. Druga zmiana wróciła ze zmiany dziennej do obozu. Po spożyciu posiłku więźniowie jeszcze nie spali, zawyły syreny ogłaszające alarm lotniczy. W jednej ze sztab nie zaciemniono okien co zauważyli wachmani z budki obserwacyjnej i wyłączono światło w całym obozie.

Po odwołanym alarmie zebrano wszystkich więźniów i na rozkaz komendanta kapo i blokowi ćwiczyli wszystkich więźniów przez kilka godzin, żabki, przysiady, czołganie i inne wymyślne ćwiczenia, a przy byle uchyleniu bili kijami, korzeniami od drzew sosny. Największym sadystą był Lagerältester i kapo /z pochodzenia rumun/. Po tej okrutnej nocy kilku więźniów zniesiono z placu apelowego nieżywych, ponad 20 zniesiono prosto na rewir. Kto trzymał się jeszcze na nogach musiał iść rano do pracy. Z rewiru wielu już nie wróciło. Po kilku dniach zmarł również mój kolega z Włocławka Tadeusz Starczewski.

W wigilię Bożego Narodzenia w 1944 roku pracowaliśmy tylko na pierwszej zmianie. Zmiany nocnej nie było to też wieczorem zeszedliśmy się na sztabach przeważnie wg. narodowości ażeby ten wieczór wigilijny spędzić razem. Muszę nadmienić że w bloku 3 czy 4 już dobrze nie pamiętam, była świetlica i tam esesmani urządzali sobie wigilię. Przedtem świetlicę tę wymalował w różne obrazy na całych ścianach blokowy z bloku 3 z pochodzenia Czech, który jeśli nie był artystą malarzem, to miał uzdolnienia artystyczne. Wieczorem przy ubranej choince i zastawionych stołach esesmani bawili się, godnie zakrapiając alkoholem. Kapo, blokowi usługuwali im, a później to już razem pili i śpiewali z esesmanami. Bawili się hałaśliwie co w jakiś sposób dawało nam gwarancję że nasze śpiewanie kolend nie będzie im przeszkadzało. Tego wigilijnego wieczoru nigdy nie zapomnę, a wspominam go w każdą wigilię. Składaliśmy sobie życzenia łamiąc się przy tym kawałkiem chleba i życząc jak najrychlejszego doczekania wolności i wierząc że to już niedługo. Któryś z kolegów zaczął śpiewać kolędę "Wśród Nocnej Ciszy", stopniowo coraz śmielej włączaliśmy się do śpiewania gdyż hałas esesmanów i tak nas przegłuszały. Śpiewając tak rozrzewnialiśmy się coraz bardziej, a gdy zaśpiewaliśmy "Bóg się Rodzi", przy słowach "Podnieś rękę Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą" wszyscy bez wyjątku starzy czy młodzi rozpłakali się. Każdy był już myślami przy swoich najbliższych, w domu rodzinnym. Tęsknota za wolnością, za rodziną, za Krajem była tak wielka że nie można było jej opanować. Najbardziej i najgłębiej przeżywali to ci którzy mieli w domu małe dzieci, żony.

Był wśród nas warszawski ryksiarz imieniem Adam. Do obozu trafił z łapanki, pozostawił on w domu 2-letnią córkę i żonę. Ten od tej wigilii już do siebie nie doszedł, tracił siły z dnia na dzień. Staraliśmy się pocieszać go, tłumaczyliśmy, ale to nie odnosiło skutku. Załamany psychicznie mówił że nie może oderwać myśli od córki i żony, stale myślał gdzie są i co robią, myśl ta nie opuszczała go ani na chwilę. Nie minęło 2 tygodnie i zmarł. To przykład jeden z wielu.

Około 10 lutego w 1945 roku dochodziły nas coraz bardziej odgłosy zbliżającego się frontu, coraz wyraźniej słyszeliśmy strzały artyleryjskie, coraz więcej latających samolotów, w końcu słyszeliśmy nawet karabiny maszynowe, co dawało nam pewność że zbliża się front, że lada dzień będziemy uwolnieni. Nasze przewidywania były jednak złudne gdyż front zatrzymał się na około 2 tygodnie na wale Pomorskim, a Niemcy w tym czasie zdążyli nas wyewakuować do

Lipska. Trudno mi dziś określić jaki to był dzień gdy zarządzono ewakuację. Wszystkich ustawiono w kolumnę wydano po 2 koce, dołączono z rewiru tych co byli zdolni do ewakuacji i poprowadzono nas w kierunku Cotbus. W dniu poprzedzającym ewakuację wiedzieliśmy już że będziemy ewakuowani, niektórzy z więźniów nosili się z zamiarem podkopania się pod barak i przeczekania do nadejścia frontu co oznaczało by wyzwolenie. Czy ktoś pozostał nie wiem, co stało się z chorymi też nie wiem. Jeżeli ktoś pozostał to zawiódł się licząc na szybkie nadejście frontu.

Droga była bardzo ciężka. Zima w Niemczech tego roku była bardzo śnieżna i mroźna. Ażeby było cieplej, ażeby zachować trochę własnego ciepła okładaliśmy się pod bluzy papierem, gazetami, czym kto mógł. Największym utrudnieniem było podbijanie się śniegu pod drewniane spody obuwia. Zbijanie tych podbijających się pigułek śniegu poprzez uderzanie nogami o ziemię. Kosztowało bardzo dużo wysiłku fizycznego, bardzo wyczerpywało siły. Szliśmy w dzień i chyba nie więcej jak do 15 km dziennie.

Nocą spaliśmy w szopach, stodołach. Pierwszą noc spaliśmy w jakichś szopach gdzie nagromadzone było bardzo dużo papy, smoły /może to jakaś wytwórnia papy/. Wstając rano mój kolega z Włocławka Jerzy Leszczyński oświadczył nam że jest tak słaby i chory bo wyszedł z rewiru w dzień wymarszu i że dalej pójść nie będzie mógł. Nie znając sytuacji koledzy radzili mu żeby zgłosił się do komendanta obozu to może go prześle gdzieś do szpitala, byli i tacy którzy wątpili w takie możliwości. Był naprawdę chory miał temperaturę zdecydował się pójść do komendanta. My z całą kolumną wyruszyliśmy do następnego etapu, nie uszliśmy daleko bo może ze 200 - 300 metrów i usłyszeliśmy strzał, spojrzeliśmy po sobie i zrozumieliśmy że nasz kolega został zastrzelony. Była to pierwsza ofiara ewakuacji.

Następne dni były coraz trudniejsze do przeżycia, głód i mróz dziesiątkowały nasz obóz. Ci co byli silniejsi przebijali się zawsze do przodu, do czoła kolumny, osłabieni i chorzy nie mogąc podążyć pozostawali na końcu kolumny, lub odpadali od kolumny. Wachmani widząc osłabionych wlokących się za kolumną najczęściej odcinali ich i już nigdy do kolumny nie doszli. Wiedzieliśmy że kto wypada z kolumny jest rozstrzelany, bo i kilku kapo nosiło ze sobą szpadle. Ratowaliśmy kolegów i słabych więźniów. Dwóch silniejszych brało pod rękę osłabionego i przechodzili do przodu byle dotrzeć do końca etapu.

Jednym z najcięższych etapów tej ewakuacji to etap w czasie którego zabito jednorazowo najwięcej więźniów. Było to podczas postoju kolumny. Postój spowodowany był przemarszem kolumny jeńców wojennych, byli to Anglicy albo Włosi, trudno mi dziś stwierdzić, szli w tym samym kierunku co my, zatrzymano nas po to aby ich przepuścić. Niewolnicy ci przechodząc obok naszej kolumny rzucali nam papierosy i chleb. Wachmani nie pozwalali nam podnosić, a kto podniósł tego wyciągali z kolumny i odstawiali na boku, bijąc przy tym każdego. Zebrali wszystkich powyciągali również z szeregu osłabionych i chorych i wyprowadzili do lasu który porastał niewielką dolinę, a raczej rozległy wąwóz. Wachmanom pomagali funkcjonariusze i kapo. Był wśród nich Lagereltester, kapo narodowości rumuńskiej, Polak o nazwisku Pollal i inni. Grupa więźniów wyprowadzona do tej doliny wg. mojej orientacji liczyła ponad 70 osób, może więcej, gdyż nie zawsze można było wszystkich dokładnie widzieć. Myślało się raczej o ratowaniu własnej skóry, aby być jak najdalej od groźnych sytuacji. Z drugiej strony organizmy nasze wycieńczone były do ostateczności i jakby przytępione, a czasem tworzyły się

luki w naszej pamięci. Byli więźniowie którzy trzeźwiej patrzyli wokół siebie, ich organizmy były mniej wyczerpane, lepiej i dokładniej rejestrowali bieżące wypadki w swych umysłach. Ja byłem jednym z tych słabszych. Schodząc w dolinę z więźniami, kapo mieli ze sobą szpadle. W niespełną pół godziny po zejściu do tej doliny głyszeliśmy strzały. Dolinę tę wszyscy więźniowie nazwali "Doliną Śmierci". Co działo się naprawdę w "Dolinie Śmierci" mógłby powiedzieć tylko ten co tam był, myśmy tylko domyślali się. Po jakimś czasie Wachmani i kapo powrócili i pomaszerowaliśmy dalej.

Maszerowaliśmy etap po etapie nie jedząc już 3 dni. Doprowadzono nas do jakiejś miejscowości, była tam nieczynna krochmalnia i w budynkach tej krochmalni zakwaterowano nas. Było już po południu, zabito konia którego mieliśmy dostać na kolację ale przy wieczornym apelu okazało się że 1 czy 2 więźniów uciekło i za to rozświeczeni Niemcy i tego dnia nie dali nam nic do jedzenia. Wnętrznosci tego konia zakopano w ziemi. Słońce już zachodziło, zaczęło się szarzyć a grupki więźniów krążyły wokół zakopanych wnętrznosci, aż wreszcie rzuciły się i rozgrzebując rękami ziemię dokopały się do tych wnętrznosci wygrzebując co się dało i ciągnąc każdy w swoją stronę. W mgnieniu oka cała zawartość rozeszła się między więźniami. Mnie przypadł w udziale kawał flaka, ale ponieważ był bardzo śliski przy tym rozciąganiu zdążyłem odciąć scyzorykiem zrobionym w fabryce i starannie ukrywanym, około pół metra tego flaka. Jedliśmy to takie brudne, nie myte i surowe. Zjadłem i ja odcięty kawałek flaka. Miałem tylko dużo szczęścia że tej nocy dostałem od swojego sztabowego kubek gotowanej kawy i dzięki temu jakoś przetrwałem. Rano okazało się że wielu więźniów po zjedzeniu tych brudów zmarło. W krochmalni tej było jeszcze po kątach porzucanych trochę na wpół wysuszonych i już zupełnie suchych ziemniaków które żeśmy na surowo pozjadali.

Rano na apelu Niemcy dali nam ugotowaną zupę i po kawałku mięsa i wyruszyliśmy do następnego etapu.

Innym dość przykrym zdarzeniem było to jak rano po przespanej nocy w stodole częściowo wypełnionej słomą w której żeśmy zagrzebывali się do spania. Mnie przypadło zagrzebać się w plewy przy samej ścianie stodoły, gdzie bardzo zmarzłem i zesztynniałem nie mogłem się podnieść, a był to już koniec lutego i doczyścić się nie mogłem z żdźbła tych plew. Przygotowywaliśmy się do apelu gdy naraz coś się zaczęło dziać, jakieś poruszenie. Do dziś nie znam przyczyny tego, co się działo. W efekcie tego zamieszania widziałem jak dwóch kapo, jeden z łopatą pod pachą wlekli za nogi więźnia do pobliskiego lasu a za nimi szedł Wachman. Więzień ten był już cały zakrwawiony, wyrywał się i krzyczał. Nie trzeba było nikomu mówić co stało się z więźniem gdyż oprawcy wrócili sami.

W czasie tych etapów ginęło nas bardzo dużo, kolumna kurczyła się z dnia na dzień. Przemarznięci, głodni nie mieliśmy już siły ażeby dalej iść. W 8-mym czy 9-tym dniu ewakuacji Niemcy wprowadzili nas na jakąś stację kolejową i załadowali do wagonów towarowych. Ażeby jak najwięcej pomieścić w wagonie sadzali nas w pięciu rzędach, siadaliśmy rozstawiając nogi i tak jeden za drugim ściśle do siebie przywierając tworzyliśmy zbitą masę. W tak załadowanych wagonach powieźli nas w kierunku Lipska. Na jakiejś stacji trzymane nas 2 dni w zamkniętych wagonach w mroźne lutowe dni, nie dając jeść ani pić. Wszystkie potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w wagonie, chociaż potrzeb tych wiele nie było. Jeżeli potrzeba załatwienia się przychodziła raz na tydzień to było dobre. Jak pierwsze godziny podróży zdawały się być dość znośne, to później były nie do wytrzymania. Przy siedzeniu w jednej pozycji całe ciało cier-

pło, kości pośladkowe bolały od siedzenia, pragnienie rosło coraz bardziej ludzie zaczęli umierać. Rosło zobojętnienie u więźniów na ludzkie cierpienie, było ono już tak duże że nie reagowano nawet na nieboszczyków. Wyciągano zmarłego i siadano na nim gdyż było na nim wygodniej siedzieć i było więcej miejsca.

Mróz, głód, nieludzkie warunki zaczęły wyzwać wśród więźniów jakieś dzikie instynkty. W wagonach zaczęto wołać o wodę, rozlegały się jakieś nieludzkie wycia, a w odpowiedzi na to otwarto wagony i kapo wpadali z kijami i bili depcząc po leżących więźniach i krzycząc "o macie wodę, komu jeszcze wody". Po usunięciu wszystkich zmarłych esesmani kazali kapom podać nam wodę. Po zakończeniu tej operacji podłączono wagony z więźniami do składu jakiegoś pociągu i powieziono nas do Lipska. Gdy dotarliśmy do Lipska to już kompletnie wykończeni, nie było sił ażeby dojść od stacji w Lipsku do obozu "Tekla" /podobozu Buchenwaldu/ a dotarło nas nie więcej jak trzystu to jest około 1/3 stanu obozu Gassen. Tak byliśmy nieludzko wyczerpani że w Tekli już nas nie angażowano do żadnej pracy. W "Tekli" w Lipsku na skutek wyczerpania zmarł również mój kolega z Włocławka Zenon Pasturczak.

Nr. archiwum Gross-Rosen 3.17.3.7.

Handwritten: Tadeusz Drzewudski

Handwritten: Tadeusz Drzewudski

Handwritten: Frau Frau

Stamp: DEUTSCHES REICH
3.17.3-10
GROSS-ROSEN

Handwritten: Tadeusz Drzewudski

Handwritten: Nr. 3

Handwritten: Konz.-lager Gross-Rosen

Handwritten: in Gross-Rosen über Stiegau

Handwritten: (Schlesien)

Tadeusz Drzewudski w obozie nazywał się Drzewucki i pisał listy do matki z komanda Gassen.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.39.

WOLNOŚĆ W GÓRACH RUDAWSKICH

Przy końcu sierpnia 1944 r. zostałem wysłany z Żabikowa z setką więźniów takich jak ja do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. Tutaj jakiś czas byłem na bloku 10, a następnie przeniesiono mnie na blok 8 jako więźnia numer 65177. Pewnego razu spotkałem przy bloku 6 Sylwestra Cygana piekarza z Lipy, który został aresztowany w tym samym czasie co ja tj. 8 sierpnia 1944 r.

Była jesień. Deszcz rosł całymi dniami. Było zimno. Trzeba było w grupach po 100 więźniów nosić na plecach względnie na kijach kamienie z kamieniołomów na miejsce budowy nowych baraków. Droga była śliska, a te drewniane chodaki kiepskie i ciężkie. Nogi mi puchną, trudno chodzić. Chce zgłosić się na rewir /izbę chorych/ ale koledzy odradzają, gdyż na tą chorobę rewir ma tylko jedno lekarstwo - zastrzyk fenolu. Jedyne ratunek dla mnie widzą tylko w wyjeździe na "arbeitskomando". Jeżeli przyjdzie zapotrzebowanie na wyjazd to mam się zgłosić, może będę miał szczęście. Po paru dniach rzeczywiście przyszło zapotrzebowanie na wyjazd. Potrzebni byli rzemieślnicy. Zgłosiłem się jako kreślarz.

Na trzeci dzień przyjechała do obozu komisja z fabryki do której mamy wyjechać. Pobieźnie zbadani przez lekarzy obozowych zostajemy następnie przeegzaminowani przez komisję fabryczną w obecności komendanta obozu. Miałem wiele szczęścia podczas tego egzaminu. Posiadane przeze mnie kwalifikacje okazały się zdaniem komisji niewystarczające do pełnienia zawodu kreślarza. I wtedy, kiedy wahałem się z odejściem na lewą stronę i kiedy już komendant obozu podnosił bykowiec w górę, aby mnie wysmagać wtedy cywil, członek komisji widząc moje błagalne spojrzenie zapytał się czy potrafię obsługiwać aparat do niwelacji terenu. Kiedy potwierdziłem kazał mi stanąć do grupy przyjętych na wyjazd. Po trzech dniach wyjechaliśmy pociągiem towarowym do obozu Gassen. Było to w końcu października względnie na początku listopada 1944 r. Obóz Jasień liczył około 1000 więźniów. Komendantem obozu był Walter Knope, Lagerältesterem Klein, a Oberkapem Łucian Wujek, Polak. Do fabryki lotniczej byliśmy wybierani w kolejności zapotrzebowania. Pracowałem na heblarce po 12 godzin na dobę. Początkowo jedzenie nie było najgorsze, ale w miarę upływu czasu kiedy na tej grupie zaczęła żerować grupa różnych funkcyjnych /blokowych, kapów, sztabowych, pisarzy/ i esesmanów zaczęła się wkradać do obozu głód.

Obóz rozłożony był na skraju lasu ale ile liczył baraków to już nie pamiętam. Wiem, że przy bramie stał barak - łaźnia, z którego skorzystałem jeden raz. Kary jakie stosowała władza obozowa były podobne do kar w innych obozach, a więc - wstrzymanie wydawania zupy, z której jak mówiono funkcyjni pędzili bimber, rolowanie po ziemi na śniegu, stanie po apelu na mrozie po kilka godzin, bieganie po terenie obozu. Byłem świadkiem jak Lagerältester Klein popisował się swoim numerem. Klein był małego wzrostu, ale zwał na ziemię najwyższych i najsilniejszych z nas. Robił to bardzo sprytnie. Przechodząc przed ustawionymi płatkami więźniów błyskawicznie uderzał wybranego pod brodę depcząc równocześnie czubki butów, a więzień nie mógł cofnąć się tracił równowagę i walił się jak kłoda na zie-

mię. Wtedy Klein dawał rozkaz - "Rollen", a wtedy więzień toczył się po ziemi a on szedł za nim i kopał go gdzie popadło.

Kiedy front wojny zbliżał się i kiedy słyszać było już wyraźnie odgłosy strażaków armatnich zarządzono ewakuację obozu. Dnia 12 lutego wyprowadzono nas z obozu. Pozostali tylko chorzy, z którymi nie wiem co się stało.

Wymaszerowaliśmy na zachód. Droga była ciężka, mróz, śnieg z deszczem, głód, spanie pod gołym niebem, a w najlepszym razie spędzanie nocy pod stogami słomy i w polowych stodołach sprawiły, że kolumna więźniów codziennie się zmniejszała. Więźniowie wyczerpani morderczym marszem siadali w rowie przydrożnym czekając na śmierć z esesmańskiego automatu. Pamiętam dokładnie taką sytuację w drodze. Zbliżaliśmy się do miejscowości Muskau. Kiedy weszliśmy na ulicę miasta czterech naszych zaskoczyło tak, że iść dalej nie mieli już siły. Strzelać do nich nie można było tutaj, gdzie ludność cywilna stojąc przed domami przyglądała się naszemu pochodowi. Takie strzelanie do ślaniającego się więźnia zrobiłoby na niektórych Niemcach przykre wrażenie. To też "lagerältester" Klein wybrał z kolumny 16 więźniów do dźwigania na ramionach dogorywających kolegów. Wśród tej szesnastki byłem wybrany i ja. Braliśmy ich we czterech na ramiona i nieśliśmy na końcu kolumny. Miasto ciągnęło się w nieskończoność. Słabły nasze siły, a więzień stawał się coraz cięższy. Pot ściekał mi po twarzy. Nogi plątały się i uginały pod ciężarem. Dzikie, wystraszone oczy wypatrywały końca ulicy. Każdy krok groził upadkiem na ziemię. Wreszcie skończyły się domy, ulica przechodzi w szosę. Po prawej stronie drogi widnieje rzadki zagajnik. Na rozkaz esesmana wchodzimy do niego i składamy więźniów na ziemi. Jesteśmy bardzo zmęczeni, ciężko oddychając czekamy na dołączenie nas do kolumny więźniów. Aż tu nagle esesman pyta gdzie jest ten piąty, bo on widzi tu tylko czterech, a powinno być pięciu. Zdziwieni patrzymy jeden na drugiego. Wtedy esesman wskazuje automatem na mnie i mówi, że ja jestem tym piątym. Zerwałem się na nogi i wskazuję na kolegę, którego niosłem i powołuję się na Lagerältestera, tłumacząc że niesionych było tylko czterech. W końcu Lagerältester potwierdza, że było czterech niesionych, i że byłem jednym z tych, którzy nieśli. Żeby wreszcie przekonać konwojenta, że mogę jeszcze dalej iść zrobiłem dwa głębokie przysiady.

Kiedy kolumna więźniów odeszła od nas na jakieś pięćdziesiąt metrów esesman dał rozkaz by do nich dołączyć. Po chwili usłyszeliśmy strzały z automatu. Tak zginęli wśród innych czterech więźniowie. Między innymi był mój kolega, którego niosłem, który pracował w fabryce obok mnie na frezarce. Rozmawiając ze mną często wspominał dwie córki, które zostały w Warszawie. Tak chętnie chciałby jeszcze do nich wrócić. Niestety już ich więcej nie zobaczył, a one jeżeli żyją to nie wiedzą gdzie jest pochowany ich ojciec. Eskortą esesmańska nie chcąc, aby wszyscy więźniowie wyginęli po drodze należało przecież kogoś doprowadzić do obranego celu załadowała nas, pozostałych przy życiu na pociąg towarowy.

W końcu lutego 1945 roku przytransportowali nas do stacji kolejowej w Lipsku. Kiedy otwarto wagony, okazało się, że z każdego z nich wyrzucono po kilka trupów i innych tak słabych, że o własnych siłach nie mogli iść. Toteż załadowano ich na wozy ciągnięte i popychane przez więźniów. I wlokła się ta kolumna z nogi na nogę, podobna do konduktu pogrzebowego przez ruiny fabryki zbombardowanej przez lotnictwo alianckie. To było na początku marca 1945 roku. Powoli dotarliśmy do drewnianych baraków jakiegoś obozu. Jak się później dowiedzieliśmy był to podobóz Lipsk-Thekla, należący do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Otrzymałem nowy numer 134931.



Tutaj zajęcia ograniczały się do pracy w jednej niezniszczonej przez bombardowanie hali fabrycznej. Reszta więźniów zajęta była porządkami w obozie. Tutaj spotkałem starych znajomych z Żabikowa: Antka Spychałę z Zaniemyśla, Alfonsa Morzewskiego /pow.Chodzież/, Sylwestra Cygana z Lipy pow. Oborniki, Pytla z Obornik. Połowa więźniów zginęła w drodze z Gassen do Lipska. Wielu zmarło po przyjeździe do Lipska. Po powrocie do domu powiadomiłem ich rodziny, wręczając odcięte od bluz numery obozowe.

Jedynym zajęciem absorbującym wszystkich były polowania na wszy, bo one opanowały obóz. Toteż siadaliśmy pod barakami od nasłonecznionej strony mordując te małe a tak bardzo dokuczliwe gadziny. Drugą plagą obozu był głód. Dienne racje chleba zmniejszone do kawałka grubości 4 do 5 cm pobudzały tylko apetyt nie zaspakajając wcale obłądnego głodu. Na obiad kostki brukwi pływające w ciepłej wodzie.

Głód zmuszał nas do zrywania trawy na terenie obozu, szatkowanie jej i zagęszczanie nią tej porcji, którą otrzymywaliśmy na obiad. Trawa stawała się dla nas niejako paszą objętościową. Każdy zdobywał żywność na swój sposób. Ale co można było zorganizować w obozie. Dla więźniów kolegów, którzy chcieli wywieźć pamiątki do domu rzeźbiłem łyżki drewniane za co otrzymywałem dwa kartofle. Głód sprawił, że znów zacząłem puchnąć, tak, że miałem trudności z chodzeniem. Pamiętam, że pewnego razu wywoziliśmy beczkowitzem fekalia na pole leżące poza obozem. Chcąc złapać coś do jedzenia na drodze przejazdu zgłosiłem się do pchania wozu. Trzymając się wozu jakoś ciągnąłem nogi za sobą. Fekalia rozlewaliśmy na pole na którym zaczął wyrastać szpinak. Wielu z nas chowając się umiejętnie za wozem nazrywało tego szpinaku i jadło nie bacząc na jego zabrudzenie. Ale byli i tacy, którzy na miejscu nie jedli, ale pochowali w kieszeniach i w podwiązanych nogawkach spodni. A widział to z więzy strażnik i kiedy przechodziliśmy przez bramę zarządził rewizję. Tych, u których znaleziono szpinak skazał na jeden dzień stójki na słońcu. Całe szczęście, że zerwany szpinak zjadłem na miejscu, gdyż ten jeden dzień stójki mógłby mnie wykończyć. Życie płynęło monotennie, spokojnie bo też spokojnie odchodzili od nas starzy, znani koledzy.

Każdego dnia, każdej nocy coraz wyraźniej i głośniejszy słychać było huk armat. Zbliżał się front, rosła nadzieja szybkiego oswobodzenia. Kiedy oczekaliśmy na wkroczenie do obozu naszych wybawców zarządzono ewakuację obozu. Było to 13 kwietnia 1945 roku po południu. Wtedy zaczęto wydawać, a właściwie wyrzucać z magazynów odzież i żywność. Przyprowadzono do nas jeszcze więźniów z sąsiedniego obozu tak, że około 3000 osób szło do wymarszu. Ustawiono dwie kolumny. W jednej zdrowi, a w drugiej chorzy, którzy mieli pozostać pod opieką lekarzy. Ustawiłem się w tej grupie, która miała pozostać na miejscu. Stałem obok Cygana Sylwestra, który ledwo trzymał się na nogach. Kiedy kolumna tak zwanych zdrowych ruszyła doskoczył do mnie Antek Spychała chwycił mnie mocno pod rękę i poprowadził. Ciężko było zrobić pierwsze kroki, ale powoli zacząłem kroczyć coraz lepiej. Na zapytanie dlaczego mnie wyciągnął z grupy chorych, powiedział, że gdybym pozostał w tej grupie to na pewno powędrowałbym na łono Abrahama.

I miał rację - bo kiedy już po powrocie do domu w lecie 1945 r. spotkałem na ulicy w Poznaniu pisarza /szrajbera/ z Gassen i kiedy zapytałem go czy nie wie co się stało z więźniami pozostawionymi w obozie Thekla opowiedział mi o tragedii jaka rozegrała się w tym obozie. Otóż po naszym wymarszu z obozu, zapędzono wszystkich chorych do jednego baraku. Zamknięto go, obłano benzyną i podpalamo. Sil-

niejsi więźniowie widząc co się dzieje wyłamali ściany drewnianego baraku i zaczęli uciekać. Wtedy ulokowani na wieżach strażnicy otwarli do nich ogień z karabinów maszynowych. Uratowali się tylko ci, którzy schowali się w rowach przeciwlotniczych i przeczekali aż esesmani opuścili obóz. Przy życiu pozostało 27 więźniów, reszta zginęła w płomieniach i od kul automatów esesmańskich.

Tak opisał mi to wydarzenie spotkany szrejber, który w pierwszym dniu uciekał z kolumny i spotkał na swej drodze patrol amerykański. Kiedy załoga amerykańskiego samochodu pancernego dowiedziała się od niego, że w obozie Thekla znajdują się chorzy więźniowie - ruszyła do Lipska. Przewodnikiem był pisarz obozu w Gassen. Niestety przyjechali za późno. Zobaczyli już tylko popalone ciała i trupy więźniów powieszonych na drutach ogrodzenia. Tutaj na drutach spotkała ich śmierć. Szrejber na potwierdzenie zego co mi opowiedział, pokazał zdjęcia. Podczas tego marszu ewakuacyjnego śmierć miała swoje żniwo. Wybierała z tych słabeuszy, którzy ciągnęli na końcu kolumny. Maszerowaliśmy w kierunku na południe, na Czechy. Spanie pod gołym niebem i ciągle głodni. Tylko to, co znaleźliśmy na drodze naszego marszu mogło służyć za posiłek. A więc można było spotkać rzucony papier po margarynie, zerwać garść pokrzyw rosnących w rowie pod płotem, przeskoczyć rów, aby narwać zielonego rzepaku. Czasem zdarzało się spotkać pełzającego po trawie ślimaka. Rzadko trafiało się na rzucone obierki ziemniaków lub skórki chleba. Niekiedy esesmani podprawiali nas pod kopiec w polu wydając po kilka ziemniaków. Były to jednak zdobycze dla tych więźniów, którzy maszerowali na przodzie kolumny, bo ostatni czekali już tylko na śmierć. Każdy skaniający się więzień wystrzałem z automatu w głowę kończył życie.

W początku maja doszliśmy do gór Rudaw. Posuwaliśmy się już resztkami sił. Nie wspominałem o tym, że musieliśmy ciągnąć i popychać wozy naładowane różnymi rzeczami i żywnością dla esesmanów.

W nocy z dnia 8 na 9 maja esesmani uciekli zostawiając nas na górskiej polanie przy wiosce Fojtowice. Pozostało nas około 400, a może mniej. Nie wiedzieliśmy co teraz z sobą zrobić. Wreszcie za przykładem niektórych ruszyliśmy z Antkiem Spychałą w góry w kierunku lasu. Zmęczeni podchodzeniem pod górę usiedliśmy na skraju lasu aby odpocząć. Wtedy usłyszeliśmy serie wystrzałów i zobaczyliśmy kilku więźniów biegnących od polany w naszym kierunku. Kiedy przybiegli do nas powiedzieli nam, aby uchodzić w góry. Antek chwycił mnie pod rękę i poprowadził w las. Po przejściu około 2 km, kiedy słońce wskazywało południe zaszyliśmy się pod świerki i zasnęliśmy. Po chwili obudziły nas bardzo bliskie i silne detonacje. Kiedy po krótkim czasie wszystko ucichło Antek wybrał się w dół, aby przekonać się co było powodem tych huków. Z niepokojem czekałem na powrót Antka. Wreszcie po upływie krótkiego czasu usłyszałem jego wołanie. Nie odzywam się, gdyż nie mam pewności czy jest sam, czy prowadzi może jakiegoś esesmana lub kogoś z tych strażników obozowych. Ale kiedy jego donośny głos wydaje mi się jakoś radosny i staje się głośniejszy odezwałem się, aby mógł trafić na moje miejsce. Jakie jest jednak moje zdziwienie kiedy zobaczyłem pomiędzy drzewami wspinającego się pod górę cywila, pykającego fajkę, w kapeluszu na głowie, w cywilnym ubraniu i z zawiniątkiem pod pachą.

Kiedy podszedł do mnie bliżej w nieznanym poznałem Antka. Rzucił mi pod nogi przyniesioną paczkę. Kazał ją rozpakować i jeść. Rzuciłem się na nią jak wilk. I oto w paczce widniał chleb, kawałek boczku, puszka oliwy i jeszcze inne rzeczy. Bojąc się jednak o żołądek zabrałem się do jedzenia bardzo ostrożnie. Kiedy ja posiłałem się Antek w tym czasie składał relację ze swojej wycieczki. Otóż

niżej na polanie znajduje się różnego rodzaju sprzęt wojenny, który jakaś tam wojskowa jednostka niemiecka uciekając w góry podminowała i wysadziła w powietrze. Te huki i detonacje, które słyszeliśmy pochodziły właśnie z tej przyczyny. Wieczorem na moją propozycję wybraliśmy się na zwiedzanie polany. W promieniach zachodzącego słońca zobaczyliśmy rozbite wozy, czołgi, samochody ciężarowe, samochody sanitarne dobrze zamaskowane w lesie. Po całej polanie porozrzucone różne rzeczy. Przeszukaliśmy część polany zabierając ze sobą to co uznaliśmy za przydatne i potrzebne. Przede wszystkim przywlekliśmy na górę namiot, koce, wiadro z wodą, kartofle i inne rzeczy. Ulokowani bezpiecznie pod świerkiem zasnęliśmy nie wiedząc nic z tego co działo się wokół nas. Na drugi dzień rano wybraliśmy się znowu na przeszukiwanie terenu doliny. Chcieliśmy znaleźć coś z bielizny i odzieży, aby pozbyć się zawieszonych szmat obozowych. Po skompletowaniu trochę dziwnaczego ubrania i po wykapaniu się w górskim potoku udaliśmy się do naszej kryjówki na górze. Na polanie znaleźliśmy też kilka garnków i patelkę co ułatwiło nam przyrządzanie na ogniu pożywienia. Moim obowiązkiem było gotowanie, a Antek dbał, aby nie zabrakło suchych gałęzi na ogień. Tak spędziliśmy tutaj kilka dni nie spotykając nikogo. Schodziliśmy na polanę o wschodzie i zachodzie słońca. Zabieraliśmy to wszystko co było nam potrzebne i wracaliśmy na nasze miejsce w górach. Pewnego ranka kiedy byliśmy na polanie, kiedy siedząc na skrzyni Antek oglądał album jakiejś rodziny niemieckiej, a ja smarowałem sobie opuchkę nogi różnymi maściami znalezionymi w samochodzie sanitarnym usłyszeliśmy warkot samochodu. Po pewnej chwili zobaczyliśmy podjeżdżający na polanę samochód ciężarowy. Na ucieczkę do lasu było za późno, bo oto wyskakuje z szoferki dwóch żołnierzy z karabinami w rękach. Stanęliśmy i czekamy co będzie bo nie wiemy co to za żołnierze. Ale kiedy podeszli do nas bliżej, kiedy na ich czapach zobaczyliśmy czerwone gwiazdy wtedy byliśmy pewni, że to żołnierze radzieccy, i że z ich strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Z radością biegniemy do nich i wołamy, że my Polacy, więźniowie z obozu koncentracyjnego. Szczęśliwi ze spotkania, serdecznie ściskamy ich ręce. Tutaj dopiero dowiedzieliśmy się od nich, że wojna skończona, że Berlin zdobyty, że Hitler nie żyje. Przy papierosie w przyjacielskiej rozmowie radzą nam abyśmy natychmiast udali się do pobliskiej wioski, w której znajduje się wojsko radzieckie. Pozostanie tutaj jest niebezpieczne, gdyż możemy trafić na rozbitek armii niemieckiej, którzy teraz ukrywając się, włóczą się po tych górzystych terenach. Dziękując im za radę, przyrzekliśmy, że pójdziemy do wskazanej nam wioski. Trudno nam było opuścić te piękne i spokojne miejsce. Jednak po dwóch dniach spakowaliśmy się, zabierając to co najpotrzebniejsze. Wszystko to załadowaliśmy na znaleziony na polanie motocykl i ruszyliśmy w kierunku wioski. Postanowiliśmy sobie wrócić na tej "dekawce" do domu. Niestety motocykl musieliśmy oddać wojsku. Tutaj w Wajtowicach na terenie Czech zakwaterowaliśmy się w opuszczonym ponemieckim mieszkaniu.

Po tygodniu pobycia w wiosce i po skompletowaniu rowerów ruszyliśmy przez Pirmę, Budziszyn, Zgorzelec, Legnicę, Głogów do Poznania. Podróż z różnymi przygodami trwała około 2 tygodni. Na peronie dworca głównego w Poznaniu pożegnałem Antka Spychałę serdecznego przyjaciela z Zaniemyśla.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.17.3.6.

OKRUTNA DROGA DO WOLNOŚCI

W lipcu 1944 r. kiedy okupantowi ziemia pod nogami zaczęła się palić, zostałem wysłany do kopania rowów przeciw czołgowych na terenach woj. wrocławskiego. Po dwóch tygodniach zbiegłem. Jednak w drodze do Polski zostałem zatrzymany w pociągu przez hitlerowców i odesłany do Wrocławia na gestapo, gdzie przebywałem około 15 dni czekając na wyrok. W sierpniu 1944 r. zostałem przetransportowany do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen gdzie otrzymałem nr 61898. Byliśmy w barakach przejściowych na tak zwanej kwarantannie. Wiadomo jak to się odbywało od rana do wieczora żabki, padnij, powstań, kopniaki i bicie bykowcem na dodoatek. Zaś wieczorem przed wejściem do baraków, ustawiało się kilka kapo z grubymi kablami w rękach i gdy przechodziliśmy przez szpaler starali się nam udowodnić, że w jednej sztabie baraku musi się zmieścić nie mniej niż 50 osób i to w ciągu kilkunastu sekund. I rzeczywiście zmieściliśmy się, leżąc na jednym boku, przyciśnięci do siebie jak śledzie na 2 centymetrowej warstwie trocin rozsypanych na podłodze. Po 14 dniach ogłosili na placu apelowym że potrzebują fachowców z branży ślusarz, elektryk i inne. Zgłosiłem się chociaż elektrykiem nie byłem /tylko w marzeniach/ ale wolałem to niż kamieniołomy w których się często na taczkach wyjeżdżało. Niestety tak zrobiło wielu więźniów którzy później drogo za to płacili. Po skompletowaniu transportu z około 200 osób zostaliśmy przewiezieni pociągiem towarowym do miejscowości "Gassen" obecnie Jasień. Był to właściwie całkiem nowy podobóz, gdyż poprzednio przebywali tam jeńcy wojenni: Włosi, Francuzi i inni.

Pierwsze moje wrażenie było budujące, ponieważ poprzednie 3 lata mieszkalem w podobnych barakach i tu kilka nie ogrodzonych baraków nie zrobiło na mnie specjalnego wrażenia. Niestety przekonałem się, że nowa filia obozu Gross-Rosen nie może być lepsza od macierzystej fabryki śmierci. Już następnego dnia zagnali nas do pracy przy budowie ogrodzenia, to znaczy ogrodzenia elektrycznego wokół baraków. Podczas gdy elektrycy i pseudo elektrycy tak jak ja pracowaliśmy, to wszyscy inni więźniowie byli trenowani biciem, żabkami i przysiadami aż do omdlenia żeby się zbytnio nie nudzili. Ja osobiście pod nadzorem byłego pilota Niemca, niezdolnego już na front, a naszego przyszłego majstra w zakładzie, doprowadzałem napięcie 500 V do naszego ogrodzenia obozowego i chociaż ręce i nogi trząsły mi się jak galareta bo robiłem to pierwszy raz w życiu i kilka razy spadałem ze słupów bo były zbyt cienkie i oblodzone, to jednak zdałem ten egzamin który być może zaważył na moim życiu a które w tym okresie było dla Niemców bardzo mało warte. I tak zaczęło się nowe życie obozowe, ponieważ sami więźniowie przy pomocy swoich katów, odgradzili się od świata kolczastym drutem naładowanym elektrycznością. Paradoks XX wieku ale prawdziwy. Potem nastąpiły monotonne i głodne dni na 100 gramowej pajdce chleba i zupy z brukwi której mój pies by dziś nie jadł. Zakład w którym pracowaliśmy produkował części i podzespoły samolotowe a wielu więźniów było fachowcami za których się podawali. Każdy więzień który wykonał swoją pracę źle lub celowo zniszczył, bo i takie wypadki

były, został zabierany do ubikacji i tam bity kablem mniej, lub więcej, w zależności od znajomości z kapem. A kapów było o ile pamiętam czterech, Rumun, Czech i dwóch Polaków, na których warto zwrócić uwagę ponieważ pod koniec naszej gehenny zapłacili życiem lub zdrowiem, chociaż moim zdaniem nie byli jeszcze najgorsi, bo nie zauważyłem by kogokolwiek kopali na ziemi jak to czynił Lagereltester Klein. Sporo więźniów było starszych i chorych na nerki lub inne choroby. Oni ocieplali sobie plecy papierem bo było zimno w tych pasiakach więc przy apelu kapowie obszukiwali wszystkich a gdy coś znaleźli to kładli na specjalną ławkę, dwóch trzymało więźnia, a jeden go obrabiał grubym kablem. Najgorsze było jednak kopanie człowieka leżącego na ziemi. Byłem raz świadkiem gdy Klein wyżywał się w ten sposób na jednym więźniu który miał ocieplacz. Boże, ten człowiek był już siny, bo nie mógł uchwycić powietrza. Potem go wzięli na rewir i nie wiem czy przeżył.

Potem zaczęły nadchodzić następne transporty aż stan podwyższył się ponad 900 osób. Był też transport z Warszawskich Łapanek po powstaniu. Przypominam sobie pewnego elektryka warszawiaka, miał ciemne włosy i gęsty zarost, ten zawsze miał humor i śpiewał sobie - zielony kapelusik z czerwonym piórkiem. Ciekaw jestem czy przeżył, ale nazwiska jego nie pamiętam. Ten człowiek dużo mi pomógł w moim fikcyjnym zawodzie, bo jakiś czas pracowaliśmy razem, a później na zmiany jako konserwatorzy przy urządzeniach elektrycznych. Pewnego razu byłem taki chiry, że nie mogłem ustać na nogach a nie chciałem iść na krank-sztubę. Szukając jakiejś kryjówki wyszedłem po schodach na piętro z którego był widok na całą halę montażową. Położyłem się pod oknem gdzie obok leżał zwój konopnych lin. Na moje nieszczęście zasnęła apel południowy, szukano mnie wszędzie, wreszcie znalazł mnie jeden wachman i zrzucił ze schodów. Potem ogłosił przed rzędem więźniów że chciałem uciec po linach. Groziło mi sztraf komando lub coś gorszego. Ale miałem jednak ten kąt szczęścia. Zjawił się majster któremu podlegałem w pracy i wybronił mnie z opresji. Najpierw spytał mnie jak to było, a potem powiedział im że gdybym chciał uciec to miałem lepszą okazję gdyż ciągnąłem sieć elektryczną pod jego nadzorem, a broni nie posiadał przy sobie.

Był początek lutego 1945 roku gdy na placu apelowym Walter Knopp ogłosił że opuszczamy obóz, przy okazji wystawili przed szeregi więźniów stół, a na nim nagiego więźnia, który podobno już trzeci dzień dostawał po 100 batów, za jak podali okradanie magazynu żywności. Był to okropny widok, od kolan powyżej pasa miał wszystko czarne i poprzecinane, a same pośladki to była tylko krwawa miazga. Ten człowiek już nie mógł przeżyć i doczekać wolności, tak jak wielu innych którzy pozostali na izbie chorych.

Na drogę otrzymaliśmy po jednym bochenku konwiśniaku. Nikt z nas jednak nie przewidział że jest to porcja na 2 tygodnie i w dodatku ten chleb ktoś mi ukradł. W tych okolicznościach wyglądało to tak jak by mnie skazał na śmierć. Los jednak czuwał nade mną, bo kapowie i Lagereltester mieli spore zaopatrzenie na drogę naładowane na wózku, który pchałem wraz z innymi więźniami. Któregoś dnia pod wieczór, chociaż nogi mi się trzęsły z wysiłku, strachu i głodu, to zdążyłem ukradkiem wyciągnąć spod nakrycia wózka bochenek chleba. Zjadłem go natychmiast, ledwie ruszając ustami, żeby się któryś z kapów nie zorientował. I być może pozwoliło mi to przeżyć ten transport śmierci który zbierał obfite żniwo. Ludzie skaniali się na nogach wycieńczeni do kresu sił - z głodu, chłodu i chorób. Ale Hitlerowcy byli humanitarni i nie chcieli żeby okoliczna ludność widziała jak mordują więźniów. Więc zatrzymywaliśmy się zawsze między wioskami w lasach i tam ogłaszali, że kto nie może

dalej iść by się zgłosił, to pójdzie na rewir. Pierwszy raz spora część więźniów dała się nabrać, wzięli ich do lasu i rozstrzelali, a zdrowi więźniowie musieli ich zakopać i ubrania pomordowanych ubrać na siebie bo to był majątek Rzeszy jak twierdzili i nie wolno było go zniszczyć.

Do dziś nie mogę zapomnieć widoku dwóch moich rówieśników z Warszawy. Jeden miał na imię chyba Bogdan drugi był bardzo szczupły i słaby, już w dniach kiedy przyjechał transportem. Więc ten Bogdan co chwilę dźwigał padającego kolegę i taskał za sobą żeby go nie rozstrzelali, chociaż sam ledwo trzymał się na nogach. Niestety w tych okolicznościach poświęcenie zdało się na nic, chłopak zginął tak jak dziesiątki innych, którzy w trakcie transportu tak zobojetnieli na wszystko że czasem sami zgłaszali się na śmierć, bo już dalej nie mieli sił iść.

Pewnego dnia po południu dotarliśmy do miejscowości której nazwy nie pamiętam. Zagonili nas do obszernej i głębokiej doliny, była to podobno kopalnia torfu a nazwana przez któregoś z więźniów "doliną śmierci". Było to trafne określenie ponieważ zmarło tam sporo ludzi z głodu i rozstrzelanych, a przede wszystkim zapanowała jakaś choroba i nawet pić nam nie dali, bo bali się epidemii. Spaliśmy jak zwykle na gołej ziemi pod gołym niebem i częściowo w rozwalonej szopie z dziurawym dachem. Było bardzo zimno. Rano gdy się rozwidniło zwróciłem uwagę na kilka osób które już się nie podniosły. Byli dziwnie czarni na twarzy, jak martwi żołnierze którzy zbyt długo leżeli na słońcu. Ja byłem już w ten czas tak zmęczony i chory że nie zrobiło to na mnie większego wrażenia, ale załamane się, była to granica wytrzymałości i postanowiłem się poddać losowi. Niech robią ze mną co chcą! Powiedziałem te słowa do jednego kolegi który jeszcze miał trochę wiary w siebie, lecz on zaczął mnie podnosić na duchu jak umiał. A potem zapytał: czy zjadłbym kawałek surowego mięsa że gdzieś tam leży padły koń którego więźniowie obgryzali nawet z flaków. Oczywiście zgodziłem się. Przyniósł może kilogram i zjadłem to na surowo. Ale dziś gdy się nad tym zastanawiam to mam pewne wątpliwości czy rzeczywiście było to mięso końskie.

Z tej właśnie doliny uciekł pierwszy więzień z zawodu fryzjer. W obozie wydawał zupełną ale zawsze na swoją korzyść i kapów dlatego nie był zbyt mile widziany przez więźniów. Po kilku dniach nie pamiętam ilu, zostaliśmy przetransportowani koleją do podobozu "Buchenwald" Komando Lipsk. Była to droga szkieletów przez mękę - szkieletów mało przypominających ludzi. Gdy przechodziliśmy ulicami miasta Niemcy odwracali głowy, ze współczuciem lub obrzydzeniem albo z niedowierzaniem że ludzka istota może wyglądać jak zwierzę. Bo jak można było inaczej sądzić gdy ludzie padali na ziemię i starali się iść nawet na czworakach. byle dojść do celu i uniknąć śmierci. Ale lasów już nie było mogliśmy być spokojni.

Z chwilą wejścia w bramę nowego obozu nasze warunki bytowe poprawiły się do pewnego stopnia /oprócz jedzenia/ ponieważ było to już pod koniec wojny i Niemcy nie ingerowali specjalnie w wewnętrzne sprawy obozowe, a szczególnie więźniowie z Gassen jak by dla nich nie istnieli. Był tam pewnego rodzaju cichy samorząd obozowy który składał się w większości z Radzieckich jeńców wojennych, a ponieważ nie zdążyli jeszcze z ciała opaść mogli sobie pozwolić na to co nam muzułmanom się nawet nie śniło. Otrzymałem numer obozowy 134861 i zostałem przydzielony na sztubę /numeru nie pamiętam/ w której między innymi zamieszkali też kapo i były Lagerältester, ze swoimi resztkami jedzenia z którego nas więźniów ograbili. Pewnej nocy obudził mnie przeraźliwy krzyk i słowa po niemiecku, zabierzcie wszystko, tylko darujcie mi życie. Okazało się że grupa

więźniów napadła na naszego Lagereltestera Kleina chcąc mu odebrać żywność i trochę dołożyć, żeby pomyślał iż tu jest tylko zwykłym więźniem tak samo jak kapowie. Niestety żywności już nie miał tylko trochę cukru. Następne dni przyniosły dalsze ataki na naszych kapów. A odbywało to się w ten sposób, że przyszło do sztuby trzech jeńców. Jeden stał przy drzwiach i pilnował żeby ich ktoś nie zaszkodził, a dwóch chwyciło kapo za ręce i nogi i uderzało kilkakrotnie o ziemię. Tak wykończyli Czecha a Polaka nie całkiem, bo był za ciężki i w dodatku ktoś z władzy nadchodził. Reszta naszej byłej obsługi z Gassen błagała później esesmanów o pomoc, której i tak nie otrzymali. A w końcu ukryli się na izbie chorych. Pytałem jednego z miejscowych więźniów jak tłumaczą esesmanom śmierć niektórych kapów. Odpowiedź była prosta, bicia na zewnątrz nie stwierdzą, po prostu zmarł. My z Gassen nie byliśmy już bici i mogliśmy się swobodnie poruszać po obozie, tylko że głód nam kiszki skręcał, gdyż racje żywnościowe były zmniejszone do minimum. Całe szczęście że na terenie obozu było sporo trawy a szczególnie młodej koniczyny którą jedliśmy z solą. Krótko przed ewakuacją obozu nastąpił potężny nalot dywanowy na Lipsk, który częściowo uszkodził jeden kraniec obozu i przylegającą obok szosę. Po nalocie pojawili się esesmani którzy uciekli przed nalotem poza obręb obozu, i zabrali grupę więźniów do zasypywania lejów po bombach.

W którymś z następnych dni spędzili nas na plac apelowy jak poprzednio w Gassen i jeden z esesmanów wygłosił płomienne przemówienie, że zbliżają się czerwoni i musimy uciekać że nas nie oddadzą a raczej wszystkich rozstrzelają. Obiadu już nie jedliśmy. Kto chciał to brał pokrojoną surową brukiew z kotła kuchennego i żądał za zawieszoną koszulę ile się zmieściło.

Nie wiem dlaczego ale prześladował mnie pech, i tym razem chleb mi zginął. Wystarczyło parę sekund nieuwagi. Było to już ponad moje siły i rozpłakałem się, ale zauważyłem że jeden facet zbyt szybko umyka - poleciałem za nim i okazało się że miał 2 chleby pod bluzą. Musiałem się sporo naszamotać zanim mu odebrałem swoją własność. Chyba nikt nie zrozumie kto nie umierał z głodu, co to znaczy zabrać komuś ostatni kawałek chleba.

W godzinach popołudniowych uformowany transport więźniów składający się z więźniów Gassen i Buchenwaldu wyruszył w drogę. Byliśmy eskortowani przez esesowców, wermacht i ukraińców w czarnych mundurach.

Pamiętam że obok szedł starszy żołnierz wermachtu i przyglądał mi się dłuższy czas, potem rozejrzał się czy ktoś nie widzi i wsunął mi w rękę kilka cukierków. Ten gest humanitarny świadczy że na całym świecie - niezależnie od narodowości i poglądów, są ludzie dla których nie istnieją bariery uczciwości. Przecież w tym konkretnym przypadku mógł otrzymać sam kulę w głowę.

Nie pamiętam już który to był dzień naszego marszu gdy zaatakował nas samolot i z karabinu pokładowego przejechał po czole kolumny więźniów. Kilku ludzi zostało ciężko lub ciężko rannych a jeden miał uciętą czaszkę jak brzytwą. Ironia losu - bo był to samolot Angielski.

Cała nasza eskorta uciekła do lasu, a my nie bacząc na niebezpieczeństwo próbowaliśmy ucieczki - kto jeszcze miał trochę siły. Niestety nalot się zbyt szybko skończył a esesmani zaczęli strzelać i byliśmy zmuszeni wracać do kolumny na czworakach. Od tego czasu odczuwałem wielki strach przed każdym samolotem. To znaczy że pomimo wielkiego głodu, nieludzkiego traktowania i w każdej chwili spodziewanej śmierci, chciałem jednak żyć za wszelką cenę. Nie przypuszczałem jednak że wkrótce los uśmiechnie się do mnie.

Zbliżaliśmy się do jakiegoś miasta podobno niedaleko Berlina. Na przedmieściu znajdowało się jakieś duże boisko, ogrodzone 2,5 metrową siatką metalową. Tam nas stłoczyli na odpoczynek, o ile można to tak nazwać. Trzeba pamiętać że był to początek marca a my w tych cienkich pasiakach i drewniakach które nie mogły utrzymać ciepła. Głód zmuszał ludzi do jedzenia wszystkiego co nie było trujące. Jedni to znaczy silniejsi złapali psa i piekli na ogniu inni znów zbierali kości i przypiekali żeby je można było pogryźć a ostatecznie paśliśmy się na trawie. Po tej libacji położyliśmy się spać, jednak nie na długo. W nocy zaczął padać deszcz ze śniegiem. Można sobie wyobrazić ten koszmar - zmęczenie i głód zwały z nóg a jednak trzeba było stać bo woda chlupała pod nogami. Następnego dnia około południa otrzymaliśmy po trzy parowane ziemniaki. Jednak nie wszyscy zdążyli zjeść bo znów nastąpił nalot na pobliskie miasto.

Po zbombardowaniu samoloty pojawiły się nad nami i zaczęły strzelać, ale widocznie tylko dla postrachu żeby nas rozgonić. Okoliczności były sprzyjające bo nasza eskorta uciekła daleko od obozu, ale więźniowie oszaleli ze strachu dlatego że samoloty pikowały bardzo nisko nad nami siejąc popłoch. Jednak wszystko wskazuje na to że był to pozorowany atak. Ten właśnie moment wykorzystaliśmy do ucieczki, to znaczy nie wszyscy odważyli się na ten desperacki krok, i byli na tyle silni żeby przejść przez ogrodzenie, chociaż próbowali i odpadali jak gruszki. Jednak kilkudziesięciu więźniów zbiegło. Grupa która skryła się w pobliskim lesie, podobno została schwytana, a część wymordowana.

Ja z kilkoma więźniami uciekłem przez ogródki działkowe na otwarte pola, a potem rowami przeciw czołgowym szliśmy około 3 km kryjąc się żeby nam głów nie było widać. Gdy się okopy skończyły wyszliśmy na otwarty teren. To już było mniej zbawienne - albowiem tak zwana Land-wacha zaczęła nas ścigać jak zające i strzelać. Niektórzy słabi więźniowie dali za wygraną i pozwolili się schwycić, bo nie mieli innego wyjścia. Natomiast jeden Rosjanin parł uparcie naprzód a ja za nim. Pod wieczór dotarliśmy do lasu oddalonego od miejsca ucieczki jakieś 5 km. Była tam jakaś większa wioska, oddalona od szosy pareset metrów, a obok dwór obszarniczy i kopce z ziemniakami. Dla nas to był raj, znalazł się stary garnek, a ziemniaki podbieraliśmy w nocy z kopca. Już dokładnie nie pamiętam ale zjedliśmy chyba po 3 dwulitrowe garnki gotowanych ziemniaków, które w tym okresie miały dla mnie najwspanialszy smak godny królewskiego stołu. Nawet zimne noce spędzane w lesie wydawały nam się luksusem.

Tak minęło kilka dni, mój kompan znalazł sobie w lesie kolegów swojej narodowości, czyli Rosjan którzy także uciekli z obozu a mnie pozostawili samego. Czuję się jak mysz w pułapce, zagubiony i osamotniony we wrogim środowisku. Pewnego dnia usłyszałem w lesie jakieś krzyki i nawoływania. Byłem przerażony bo myślałem że to jest obława na więźniów.

Przez 2 dni nic nie jadłem, bo bałem się nawet w nocy wyjść po ziemniaki. Jednak głód przewyciężył strach i wybrałem się w stronę szosy. Szedłem jak złodziej kryjąc się poza drzewami. W pewnym momencie usłyszałem rozmowę po polsku. Teraz już wyszedłem odważnie i pytam: Panowie gdzie są Niemcy? A oni na to, Niemców już nie ma, dwa dni temu przeszedł front Radziecki. Nie wiem jak określić ten moment mojej radości, bo to się nie da opisać, kto tego nie przeżył. Wiem tylko jedno że więźniowie Kraju Rad nie byli dla nas Polaków zbyt przychylni, ale nie zapomnę tego do śmierci, że zawdzięczałem ich braciom życie. Byłem uratowany i wolny po pięciu latach vegetacji.

W drodze do Polski przeżywałem jeszcze różne epizody ale to już nie warto pisać. W czerwcu 1945 roku powróciłem do rodzinnego miasta Kęt. Po zameldowaniu się na miejscu zamieszkania, wkrótce otrzymałem powołanie do wojska. Ale byłem jeszcze zbyt wycieńczony żeby znów w świat wyruszyć.

Nr. archiwum Gross-Rosen 3.17.3.6.

Gross-Rosen, 15. 12. 44

Der Tag der Gefangenen kann jetzt noch nicht angegeben werden. Deutsche im Lager sind verboten, Kasse zu haben.

Ausgang aus der Lagerordnung:

Jeder Gefangene darf im Lager 2 Briefe oder Postkarten empfangen und abgeben. Eingehende Briefe dürfen nicht mehr als 4 Seiten à 12 Zeilen enthalten und müssen überschüssig und gut lesbar sein. Postkarten dürfen nur durch Postanstalten geschickt werden. Deren Aufschrift nur: Name, Geburtsort, Gefangenennummer trägt, jedoch keinerlei Mitteilungen. Geld, Gold und Schmuckstücke im Lager sind verboten. Die Annahme von Postkarten, die den geforderten Anforderungen nicht entsprechen, wird verweigert. Unübersichtliche, schlecht lesbare Briefe werden vernichtet. Im Lager kann alles gekauft werden. Nationalsozialistische Zeitungen sind zugelassen müssen aber vom Gefangenen selbst im Konzentrationslager bestellt werden. Lebensmittelpakete dürfen zu jeder Zeit und in jeder Menge empfangen werden.

Der Lagerkommandant

Liebe: Mutter.

Ich bin jetzt im Arbeitslager Gassen. Ich darf sofort dürfen. Ihr mir Lebensmittelpakete direkt nach hier schicken. Verbieten sind Geld- und Briefeinsparungen sowie alkoholische Getränke. Meine Anschrift für Briefe lautet:

Sch. Häftl. Nr. 87221-Tadeusz Drzewudzi

Arbeitslager Gassen

Im Gassen bei Schamerfeld

Brief- und Geldsendungen dazugegen müssen an folgende Anschrift gerichtet werden:

Sch. Häftl. Nr. 87221-Tadeusz Drzewudzi

Konz.-Lager Gross-Rosen

Im Gross-Rosen über Striegau

(Polen)

Tad. Drzewudzi

Tadeusz Drzewudzi, więzień Nr 87221 pisał list do matki z Gassen dnia 15 grudnia 1944 roku. Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.39

PRZESZEDŁEM PIEKŁO OGNIĄ

Gdy miałem 16 lat wiosną 43-roku zostałem aresztowany przez Gestapo zawierciańskie za współpracę z partyzantką i osadzony w areszcie gdzie przez okres 2-ech tygodni byłem przesłuchiwany i katorwany do nieprzytomności. Po dwóch tygodniach gdy oprawcy hitlerowscy nic ze mnie nie wydusili przewieźli mnie do więzienia w Lublińcu. Pod koniec 43-roku zostałem przewieziony z liczną grupą więźniów do Koncentracyjnego Obozu Gross-Rosen, transport ten składał się z około tysiąca osób, zbieranych po drodze z Częstochowy, Zawiercia. Wieziono nas w wagonach zwanych krowiakami, upychano nas ile tylko się dało, przy załadunku bito i kopano, nie było miejsca aby usieść, musieliśmy stać jeden przy drugim bez powietrza i wody. Transport z Lublińca do Gross-Rosen trwał około 48-godzin, gdyż zepchnięto nas na jakąś bocznice i tam nas trzymano dobrych parę godzin w tym czasie nie podano nam żadnego posiłku ani nic do picia. Więźniowie prosili że chcą wyjść za swą potrzebą to wypuścili paru ale nie po to aby się załatwili a po to aby ich załatwić. Pobito ich i skopano i puszczono na nich psy tak, że więźniowie zmuszeni byli załatwić się wiadomo do spodni. Gdy nas dowieziono do Koncentracyjnego Obozu Gross-Rosen więźniowie zostali posegregowani i kierowani do osobnych bloku w zależności od wieku i stanu zdrowia. Ja przebywałem na bloku 6, potem 10-tym. Więźniowie z tych bloków byli zatrudnieni w kamieniołomach.

W obozie Gross-Rosen oznaczono mnie numerem 30486. W obozie tym zaprzyjaźniłem się zaraz z wieloma kolegami, a zwłaszcza z kolegą Tadeuszem Maciejewskim który pochodził z Łodzi aresztowany również za współpracę z podziemiem.

W 1944 roku zostałem wytypowany przez szrajbera blokowego z pewną grupą młodocianych więźniów do transportu do podobozu Gassen, obecnie Jasień w woj. zielonogórskim. Gdy przybyliśmy do Gassen zastaliśmy tam więźniów różnej narodowości, którzy budowali obóz. Obóz ten mieścił się w lesie wygrodzonym kolczastym drutem w odległości od miasta około 3 kilometrów. Baraki ogrodzone drutem kolczastym a w tych drutach prąd wysokiego napięcia.

W obozie tym zapamiętałem SS-manów gdyż w pierwszym dniu otrzymałem kopniaka, ponieważ spadł mi z nogi but gdyż przydzielono mi drewniaki za duże. Kopał mnie wówczas SS-man bardzo groźny o nazwisku Muller.

Zaraz na drugi dzień po przybyciu do Gassen pędzono nas pieszo do fabryki wyrobów lotniczych odległej od obozu około 3-ech kilometrów. W fabryce tej pracowaliśmy po 12-ście godzin. Pamiętam że z obozu Gassen były ucieczki, ale po schwytaniu uciekinierów przywożono na miejsce i tam ich zabijano w haniebny sposób a zwłoki odwożono do krematorium Gross-Rosen.

Po ciężkiej pracy w obozie czekały na nas zawsze niespodzianki przygotowywane przez SS-mana Mullera. Lubił on bardzo w perfidny sposób zabawiać się z więźniami. Po apelach wieczornych urządzał tak zwany sport. Sport ten polegał na tym, że komendant obozu przywoływał do siebie więźnia i kazał mu skakać "żabką" a następnie chwycił za ubranie, przyciągał do siebie, uderzał łokciem w szczękę,

a jednocześnie więzień uderzał się brzuchem o nadstawione kolano. Więzień przewracał się, wówczas Lagerführer stawał butem na gardło i śmiał się mówiąc "no oddychaj świnio" i wołał następnego.

Tak się lubili zabawiać więźniami z premedytacją SS-mani Müller i Knopp. W czasie tych zabaw przychodził czasami również syn komendanta, który bił za pozwoleniem ojca bykowcem więźniów, poturbowanych przez opisany sport. To wszystko odbywało się na oczach wielu więźniów i części załogi SS-manów.

Obóz Gassen został zlikwidowany przed obawą Radzieckiej ofensywy 11 lutego 1945 roku. Fabryka wstrzymała produkcję wywożąc sprzęt i urządzenia. Następnego dnia w godzinach rannych nastąpiła ewakuacja obozu więźniów którzy byli zdolni do marszu pieszo. Wyprowadzono nas poza ogrodzenie obozu a chorych i niezdolnych do marszu pozostawiono w barakach obiecując im, że przyjadą po nich samochody - ale tych samochodów biedacy się nie doczekali gdyż po odejściu naszej kolumny od obozu zobaczyliśmy płomień z miejsca gdzie pozostawali chorzy. Prawdopodobnie SS-mani spalili żywcem pozostałych chorych około 200 więźniów. Kiedy było widać wyraźnie płomienie SS-mani popędzili nas w drogę a ci SS-mani którzy pozostali z chorymi za chwilę dołączyli do naszej jeszcze żyjącej grupy.

Pieszo pędzono nas przez Muskau, po drodze rozstrzeliwali SS-mani więźniów, którzy się nie nadawali do marszu pieszego. Po rozstrzelaniu kilku nie nadających się do marszu więźniów zanołowaliśmy w Muskau w starej smolarni. Wówczas komendant obozu Walter Knopp ogłosił że kto się czuje źle, że nie wydzieli dalej maszerować niech się zgłosi do lekarza obozowego. Kilkanaście osób się zgłosiło. Myśleli oni biedacy, że lekarz zadecyduje, żeby ich dalej zawieźć samochodem i tak właśnie padli ofiarą hitlerowskiej zagłady gdyż takowego lekarza obozowego nie było wśród SS-manów. Walter Knopp zwabił podstępem naiwnych schorowanych więźniów do rzekomego lekarza a potem wydał na tych bezbronnych ludzi wyrok śmierci - miejsce to nazwaliśmy doliną śmierci. Mało, że ich kazał pomordować musieliśmy ich rozbierać po śmierci a pokrwawione pasyaki załadować na tak zwane wozy dobytku obozowego, które ciągnęli ręcznie więźniowie. Kto wybrany przez Waltera Knopa nie podołał ciągnięciu wozu Walter Knop osobiście go dobijał. W dalszej drodze do Drezna SS-mani rozstrzeliwali kilku więźniów nie nadających się do dalszego marszu. Rozstrzeliwano również więźniów po drodze którzy nie podążali za kolumną. W czasie drogi dostawaliśmy jedynie po 100 gram chleba na całą dobę. W czasie drogi zatrzymano nas przez dwa dni w jednym z majątków gospodarczych z powodu braku żywności - tak nam tłumaczono. Wówczas byliśmy wszyscy w rozpacz, że zginiemy z głodu. Wielu więźniów zmarło z głodu i wycieńczenia.

W tej to miejscowości jeśli mnie pamięć nie myli Weiss Wasser - załadowano nas do pociągu i transportem kolejowym jechaliśmy do obozu koncentracyjnego Buchenwald. Wyładowani zostaliśmy na bocznicę stacji w Lipsku. Bardzo osłabieni dotarliśmy do obozu Thekla. W obozie tym zostałem oznaczony numerem 134782 a mój serdeczny przyjaciel Maciejewski Tadeusz, który cały czas przechodził z obozu do obozu wraz ze mną otrzymał numer 134790. Niedobitków z Gassen około 600 - 700 osadzono w baraku oddzielnym wygrodzonym drutem kolczastym z groźbą kary śmierci gdy się ktoś odważy kontaktować z pozostałymi więźniami. W obozie Thekla nie pracowaliśmy gdyż każdy z nas był bardzo wycieńczony i opuchnięty z głodu.

Obóz ten położony był na przedmieściu Lipska w pobliżu Zakładów Zbrojeniowych Hassag i Zakładów Lotniczych Junkers. Baraków było kilkanaście. Obóz był wygrodzony drutem kolczastym pod wysokim napięciem elektrycznym, a poza ogrodzeniem wysokiego napięcia -

zasieki z drutów kolczastych, a za zasiekami bardzo głęboki rów. Były również wieże strażnicze w ilości 6-ść sztuk. W nocy obóz był oświetlony reflektorami. W obozie tym było około 3-ch tysięcy więźniów którzy pracowali w Zakładach Junkersa.

Pewnego razu SS-mani powiesili 6-ciu więźniów po apelu wieczornym prawdopodobnie za spowodowany sabotaż w fabryce, ofiar tych nie znam gdyż nie byli to więźniowie z naszej niedobitej grupy.

W połowie kwietnia Lagerführer ogłosił, że dnia następnego nastąpi ewakuacja obozu. W związku z przeżyta tragedią ewakuacji z Gassen grupa pochodząca z tego obozu za pośrednictwem tłumacza oświadczyła, że nigdzie się nie ruszy na żadną ewakuację, wolimy zginąć na miejscu. Lagerführer tegoż obozu oświadczył, że jeżeli nie przygotujemy się do drogi to każe nas zagazować lub masowo zastrzelić. Myśmy i na to się zgodzili było nam wszystko jedno gdzie zгинiemy, gdyż wiedzieliśmy cośmy przeżyli poprzez tamtą jeszcze niezapomnianą ewakuację ile ginęło kolegów w drodze.

Dnia następnego więźniowie zostali ewakuowani prócz naszej grupy z Gassen i grupy więźniów chorych z rewiru. Po wymarszu, więźniów chorych z rewiru przeniesiono do naszego baraku, których było około 40 - 50. Z nami zostało około 20-stu SS-manów. Dowódcą grupy SS został jakiś esesman, który nie władał lewą ręką.

W dniu 17 kwietnia 1945 roku na teren obozu przybyli SS-mani z frontu oraz żołnierze Volkssturmu. SS-mani frontowi zapytali nas czy chcemy się ewakuować gdyż tą drogą możemy ocaleć i ostrzegli nas, abyśmy nie szli z esesmanami obozowymi gdyż oni i tak nas po drodze wymordują.

Dnia 18 kwietnia 1945 roku w godzinach rannych opuścili SS-mani frontowi i Volkssturm obóz, pojawili się wówczas nasi SS-mani obozowi z dużą ilością karabinów maszynowych i granatów. Przy bramie zostały ustawione dwa czołgi, z których wydobywano beczki z benzyną, potem SS-mani wykopali wykopy między naszymi barakami a placem apelowym, potem ustawiono nas na placu apelowym, a następnie więźniom narodowości germańskiej dali cywilną odzież i wypuścili ich za bramę obozu i wraz z nimi więźniów funkcyjnych kapo, szrajberów itp. niezależnie od narodowości. Do nas przepowiedział ten z tą lewą ręką abyśmy zachowali spokój bo niedługo oni nas opuszczają a przychodzą amerykanie. Myśmy w to uwierzyli gdyż słysząc było wyraźnie na przedmieściu Lipska walczące wojska i samoloty krążące i bombardujące Lipsk. Kazano nam zasłonić okna kocami a następnie zaczęli oblewać barak benzyną rzucając granaty w wyniku czego baraki się zapaliły. Z opisanych okopów esesmani zaczęli strzelać do uciekających więźniów z płonącego obozu.

Ja uciekając zawiesiłem się na parapecie okiennym i zacząłem się palić żywcem, buty i pasiaki płonęły. Kolega o którym już tyle wspominałem Tadeusz Maciejowski z Łodzi najlepszy mój przyjaciel uciekając z płonącego obozu otrzymał serię kul. Powrócił z powrotem pod barak płonący dzięki postrzności Boskiej pod to okno na którym wisiałem już zemdląły i mało przytomny. Zciągnął mnie z okna mimo to, że był posiekany od kul bo otrzymał ich aż 5 i był wykrwawiony ale ratował życie drugiemu koledze. Gdyby nie on na pewno bym się wówczas spalił gdyż byłem bardzo opuchnięty i nie zdolny do ratowania się sam. W takiej rozpaczy każdy liczył na los szczęścia, każdy myślał o sobie ale ten właśnie uparty nie bojący się niczego w takiej chwili ratował innego który naprawdę potrzebował pomocy drugiego człowieka.

Kiedy zciągnął mnie z okna potrząsnął mną jak tylko mógł i wykrztusił - kochany przyjacielu ratujemy się każdy na swą rękę pojedynczo a napewno z nas się paru uratuje, bo gdy będziemy uciekali

w grupie wysiekają nas jak kaczki dzikie. Jeszcze tyle miał wrażeń i odwagi chociaż był wykrwawiony. Dobrze że granaty hitlerowskie poprzerywały druty wysokiego napięcia i zasieki dlatego też mogliśmy przedostać się za zasieki. Trudno mi było pokonać ten głęboki rów za drutami w którym przebiegały tory kolejowe ale przy pomocy Bożej wygrzebałem się i biegłem na oślep przez pola na tych spalonych po kolana nogach. Za mną biegł cały w płomieniach niejaki Zbyszek z Warszawy. Bałem się okropnie tego całego w płomieniach kolegi gdyż widziałem jego rozpacz. Chyba postradał zmysły, bo krzyczał bardzo przeraźliwie. Ja biegłem już bez spodni bo kolega zdążył mi je ściągnąć gdyż były w płomieniach i ściągnął je wraz ze skórą z nóg i na tych szkieletach uciekałem w strachu nie czując bólu biegnąc tak przed siebie na wpół nago.

Biegnąc przez pola straciłem przytomność, a gdy się ocknąłem to klęczała nade mną kobieta w pasiakach. Była to więźniarka z obozu który znajdował się około 50 metrów od mego omdlenia. Widziałam jak więźniowie uciekali z płonącego obozu. Kobiety te zostały pozostawione przez SS-manów własnemu losowi przed przyjściem wojsk amerykańskich. Kobieta ta zaraz zawołała drugą i wzięły mnie na nosze i zniosły do swego obozu do lekarza obozowego. Jak przyszedłem do przytomności spytano mnie skąd jestem. Gdy powiedziałem, że z Zawiercia to więźniarka ta wydała okrzyk "niech pani doktor go ratuje, to mój krajan". Ale pani doktor powiedziała - nie zwracajcie sobie nim głowy. Ratować się musimy same aby przedostać się na stronę amerykańską. Mogą nas te złoczyńce też podpalić jak tamten obóz. Jemu i tak nic nie pomożemy bo to oparzenie III stopnia po prostu zgorzel. Nie zapomnę tego nigdy, że taka egoistka przeżyła obóz i nie udzieliła mi żadnej pomocy. Te dzielne dziewczęta, bo jedna Hania z Zawiercia zawołała Lusię ze Stanisławowa i obie tak mnie niosły pod obstrzałem kul rowem może kilometr może dwa nie mogę sobie tego uzmysłowić. Bardzo mnie to ucieszyło nie czułem tego silnego poparzenia z radości, że tak blisko byłem wolności znów miałem być porzucony na pastwę losu ale ten los dzięki dzielnej więźniarce uśmiechnął się do mnie. Myślałem, że już nigdy nie ujrzę ukochanej matki, ojca i braci. Modliłem się po drodze na tych noszach o wytrwałość tych kobiet, prosiłem Matkę Boską Częstochowską aby dała jeszcze pokosztować prawdziwej wolności. Niosąc mnie rowem uciekało wiele ludzi. Gdy przystanąły odpocząć prosiłem - uciekajcie, zostawcie mnie, wydaje mi się że tutaj już będę bezpieczny. Ale uporczywie powiedziały - nie pozostawimy cię, jak zginiemy to wszyscy troje. Po odpoczynku koleżanki tej owej tragedii znów mnie poniosły, a kule świstały obok nas. Co dalej się stało nie wiem, gdyż znów straciłem przytomność, a gdy się obudziłem ponoć dopiero następnego dnia to już byłem w szpitalu pod opieką lekarzy amerykańskich.

Opieka była bardzo dobra, nie chodziłem na nogach około 6-ciu tygodni. Po pewnym czasie leżąc w szpitalu przyszła pielęgniarka z noszami zabierając mnie na opatrunek, przy opatrunku bardzo krzyczałem bo się ciało bardzo gnoilo, nie chciało się goić i przy tych opatrunkach bolesnych krzyczałem wówczas na salę opatrunkową. Wszedł kolega Maciejewski który też tam przebywał a nie wiedzieliśmy nic o sobie. On jakoś z tych ran prędzej się wylizał, a ja nadal byłem pozbawiony wychodzenia na powietrze. Wówczas jak przystało na prawdziwego przyjaciela zaczął mnie zabierać na spacer woząc mnie na wózku inwalidzkim. Co to była dla mnie za radość zobaczyć swego zbawiciela który mnie wyrwał ze szponów oprawców hitlerowskich i płomieni i nieodstępował mnie ani na krok, przeniósł się do mojej sali i pomagał mi do końca naszego pobytu w szpitalu.

Do ojczyzny powróciłem z utratą zdrowia około 70% a w tych czasach nikogo nie obchodziło skąd się wraca czy masz co jeść. W drodze powrotnej do domu w transporcie odnowiły mi się głębokie rany i odstawiono mnie i kolegę wraz ze mną do szpitala do Legnicy. Koledze też odnowiły się rany po postrzale. W szpitalu w Legnicy przebywaliśmy od 15 lipca 1945 do 15 sierpnia 1945 roku. Rany się podgoiły i dyrekcja szpitala powiadomiła rodziny nasze aby do nas przyjechano. Co to była za radość, że po takich czasach żyjemy a już byliśmy przez nasze rodziny spisani na straty. Po mnie przyjechał brat który przeżył szczęśliwie partyzantkę, a po mojego serdecznego przyjaciela przyjechała siostra z Łodzi. Był to chyba najszczęśliwszy dzień dla nas, gdyż po takiej rozłące i tylu przeżyciach zobaczyliśmy naszych najbliższych.

Nr. archiwum Gross-Rosen 3.17.3.5.



Na zdjęciu pomordowani w dniu 18 kwietnia 1945 roku więźniowie pozostawieni w rewrze Komando Fhekla pod Lipskiem. Uciekając z płonącego baraku spotkała ich śmierć od kuli, lub zginęli porażeni prądem przy ogrodzeniu obozu. Nr archiwum Gross-Rosen 3.17.1.7.

TAKIEJ ZBRODNI NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ

Po 6-cio tygodniowych torturach śledztwa dokonywanych na mnie przez gestapo w Poznaniu oraz Żabikowo-Fort VII, zostałem zesłany do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. Po przebyciu kwarantanny i "szkoleniu" w bloku nr. 10, pracowałem w Banhoff-komando. Według relacji więźniów przywożonych z innych obozów tj. Dachau, Buchenwald, Oświęcim, warunki więźniów w Gross-Rosen były najgorsze. Z Gross-Rosen w miesiącu wrześniu czy październiku zostałem prętransportowany w wagonach bydłowych do podobozu Gassen. Włosy ostrzyżono na rekruta a od podstawy czaszki do czoła przez środek głowy golono zarzdzewiałymi, tępyimi brzytwami ścieżkę na 3 palce. W czasie transportu niemalże wszyscy więźniowie przeziębili się a część zachorowała na zapalenie płuc. W dwa lub trzy dni po przyjeździe do Gassen zabrano nam na apelu bieliznę /koszule/ do odwszenia. Rzeczy tych już nie otrzymaliśmy do końca. Spaliśmy na pryzcach piętrowych, w których znajdowały się sienniki wypchane wełną drzewną. Całe posłanie składało się z powyższego siennika i jednego lub części zniszczonego koca. Mimo iż w niektórych celach drewnianych baraków były piece żelazne, nie wolno było w nich palić, nie wolno było również sypiać we dwóch, co by pozwoliło na zmniejszenie dokuczającego zimna. Odzież składała się z 1 pary drewniaków oraz "pasiaka" tj. 1 pary spodni i bluzy - żadnej innej bielizny. Więźniowie ratując się przed zimnem podkładali pod bluzy skombinowany papier - najczęściej worki papierowe. Robactwo, wszy, pluskwy i inne insekty dodatkowo nękały więźniów. Z fabryki zbrojeniowej - filii "Focke-Wulfa" w której pracowaliśmy, przemycaliśmy raz po raz, w nogawkach kostki brykietu opałowego, za co groziła kara chłosty. Osobiście dwukrotnie zostałem wychłostany kijem po 25 razy. Raz w tygodniu urządzano nam "kąpiel" w łaźni odległej od obozu około 200 m. Rozebrani do naga, przechodziliśmy do tej łaźni przez szpaler SS-manów, którzy bili nas pejciami. Kąpiel odbywała się w zimnej wodzie, bez mydła i ręcznika. Wielu więźniów w czasie tej "kąpeli" straciło życie. Apele trwały po kilka godzin. Bywały i takie podczas których stosowano "gimnastyki" - długotrwałe przysiady "żabki", pompki itp. Była to ulubiona zabawa SS-manów na czele z komendantem obozu Walterem Knop, wtórowali im kapowie, a szczególnie ubaw miał wyjątkowy sadysta - Lagerältester Peter Klein - niemiecki kryminalista. Bicie, kopanie i maltretowanie więźniów bez żadnych powodów było na porządku dziennym. Każdej minuty więzień mógł zostać zamordowany zarówno przez hitlerowców jak i funkcyjnych Kapo, bez powodu.

Praca w fabryce odbywała się w zasadzie na dwie lub trzy zmiany - nocna wynosiła 11 godzin, dzienna 13 godzin. Zmiany odbywały się co tydzień. Droę do fabryki i z powrotem odbywaliśmy w zwartej kolumnie, trzymając się pod ręce piątkami, pod pręgierzem, biciem, kolbami, kopaniem przez konwojujących nas SS-manów i żołnierzy Luftwaffe. Za rozmowy, niewłaściwy krok i inne, więźniów wyciągano na czoło kolumny, maltretując do krwi.

Ucieczki z obozu były niemożliwe. Wszystkie próby ucieczek były likwidowane a więźniowie ci w bestialski sposób zabijani. Dość dok-

Żadnie pamiętam próbę ucieczki dwóch więźniów, których po schwytaniu, zmaltretowanych, pomalowano farbą na całym ciele, nie wyłączając twarzy i z tablicą ogłaszającą "Ich bin wieder hier" oraz wiadrami improwizującymi werble umieszczono na stole na placu obozowym podczas specjalnego apelu. Następnie musieli oni przechodzić przed szeregami więźniów, uderzając kijami w wiadra. Więźniowie ci na oczach wszystkich więźniów, zostali zabici. Drugi przypadek który sędze wszystkim utkwiał w pamięci, to całonocne znęcanie się nad byłym mistrzem boksterskim Litwy. Więźnia tego po zmaltretowaniu na wpół żywego wrzucono wieczorem do umywalni na oblodzoną posadzkę. Po pewnym czasie usłyszeliśmy w naszym baraku krzyk Lagerältesta wołający pomocy i hałas. Jak się okazało Litwin odzyskał przytomność i rzucił się na przechodzącego korytarzem - sadystę Petera Kleina. Wymierzenie sprawiedliwości temu zbrodniarzowi, udaremnił niestety oberkapo Lucjan Wujek - obezwładniając naszego kolegę Litwina, którego jak ja pamiętam wywleczono na plac apelowy i powieszono do góry nogami i wisiał jak wychodziliśmy rano do pracy.

Apele urządzone były: normalne codziennie dla każdej zmiany i dodatkowo "okolicznościowe" dla całego obozu. Jeden z takich okolicznościowych apelów odbył się w święta Bożego Narodzenia. Na apelu tym wszyscy więźniowie na wydaną komendę w ramach musztry musieli zdjąć drewniaki z nóg i następnie kolejno - pojedynczo boso po śniegu maszerując przed swiatą obozu, zdawać onuce /szmaty do owijania nóg/ i w ten sposób odebrano nam ostatnią część bielizny.

Po pracy na nocnej zmianie często musieliśmy w dzień pracować na terenie obozu - porządki, ładowanie i wywożenie zwłok itp. Zwłoki były wywożone do krematorium w Gross-Rosen a pod koniec okresu furmankami do pobliskiego lasu, gdzie je zakopywaliśmy będąc bici pejcami esesmanów i kijami przez kapo.

Wyżywienie w Gassen było głodowe, co powodowało częste zgony z wycieńczenia. "Zupę" stanowiącą obiad dostawaliśmy na terenie fabryki w ilości 0,5 l. Rano 0,5 l. "kawy" z nieznannej mieszanki gorzkiej. Wieczorem po powrocie z pracy kolacja - pajdka chleba tj. 1 kg bochenek na 4 lub 6-ciu, również nie wiadomo z czego produkowany. W niedzielę i święta był jeden posiłek - obiad - 2-3 małe zgnięte ziemniaki, przywożone z fabryki. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia nie było żadnego posiłku.

Na terenie obozu panem życia i śmierci był wspomniany wyżej Lagerältester - niemiecki kryminalista Peter Klein. Warunki jakie stworzył więźniom Gassen komendant Hauptscharführer Walter Knop były znacznie gorsze aniżeli w Gross-Rosen. Po wojnie obaj zostali uznani za hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Byli to wyjątkowi sadyści.

Do najokrutniejszych i najbardziej tragicznych były dni marszu ewakuacyjnego z Gassen do Lipska /komando Buchenwald/. W dniu 12 lutego 1945 roku otrzymaliśmy na drogę po pół bochenka chleba, który przeważnie zjedzony został w pierwszym dniu ewakuacji. Więźniów chorych pozostawiono w obozie. Ewakuowanych około tysiąca osób sformowano w kolumnę, którą eskortowali SS-mani z psami, uzbrojeni w karabiny maszynowe. Pędzono nas gorzej niż bydło, gdyż nie tylko pokrzykiwano lecz bito, zabijano. Opadających w drodze z siłą, dobijano i spychano do rowów przydrożnych. Co jakiś czas podczas postojów wyprowadzano niezdolnych do marszu w głąb pobliskich lasów i rozstrzeliwano. Do jednej z takich grup zabrano mego serdecznego przyjaciela Kazimierza Bednarkiewicza, pochodzącego z miejscowości Kościan, woj. poznańskie. W krótkim czasie po słyszeniu strzałów, Kolega Bednarkiewicz wrócił i powiiedział mi, że tamtych zabito a on cudem uniknął śmierci, kiedy naprawił uszkodzony motocykl la-

gerführera Knopa. Wyczerpanych /w którym dniu nie pamiętam/ załadowano do wagonów bydłych i zawieziono do Lipska. W każdym wagonie w środkowej części pilnowali nas uzbrojeni esesmani, oraz capo. W naszym wagonie dodatkowo pod groźbą śmierci zmuszano więźnia narodowości rosyjskiej do pilnowania nas, wręczając mu drąg, którym miał uderzać w głowę podnoszącego się więźnia. Człowiek ten nikogo z nas nie skrzywdził. Został zabity w obozie Thekla k. Lipska. Jak tragiczny był marsz ewakuacyjny z Gassen do Buchenwaldu świadczy ilość zabitych i zmarłych z wycieńczenia - ponad połowa.

Pamiętam również do dziś słowa wypowiedziane przez Lagerführera obozu Buchenwald na stacji, kiedy nas wynoszono i wyprowadzono z wagonów, ss-man ten który miał również sporo na sumieniu zwrócił się do byłego komendanta obozu Gassen - Knopa z pytaniem wskazując na nas "Das sind Menschen?" Część z nas umieszczono w podobozie "Thekla" a część w podobozie "Erhla". Znalazłem się w grupie umieszczonej w jednym baraku w podobozie "Thekla" jako więzien numer 134893. Więźniowie tego obozu wykapali nas. Dokonano samosądu na kapo z b. obozu Gassen, lecz nie wszystkich, gdyż obronili ich esesmani i oni osłanili również najgroźniejszego sadystę - lagereltesta - Petera Kleina od zasłużonej kary. Po tym wydarzeniu prominentów z Gassen zabrano z obozu Thekla. Nas muzułmanów umieszczonych w jednym baraku "leczono" zastrzykami, pigułkami, a skutek tego leczenia, to powstanie nowych chorób - tyfusu, czerwonki i duża śmiertelność. Tak leczono nas do ewakuacji obozu tj. początku m-ca kwietnia 1945 roku. W między czasie tamtejsi więźniowie widząc nas, często wychodzących na czworakach lub czołgających się do wysypiska w celu zdobycia obierków i innych odpadów, przychodzili nam często z pomocą dzieląc się swoimi skromnymi porcjami. Pomagał nam Czesław Bereczyński pochodzący z Lubiechowa p. Wielichowo koło Kościana. W międzyczasie zmarł z wycieńczenia leżący ze mną mój serdeczny przyjaciel z harcerstwa i Szarych Szeregów Druch Kazimierz Bednarkiewicz, o którym już wspominałem. Z obozu ewakuowano więźniów zdolnych do marszu.

Do nas dołączono innych chorych i w liczbie około 330 umieszczono w jednym baraku dodatkowo odgrodzonym drutami kolczastymi. Od czasu ewakuacji do dnia 18 kwietnia 1945 r. w tym baraku raz otrzymaliśmy posiłek. W nocy poprzedzającej dzień wolności słyszeliśmy wybuchy bomb i strzały artylerii. Około południa do baraku weszli esesmani przynosząc gwoździe, którymi przybito okno i zasłonięto je kocami. Po upływie krótkiego czasu barak został ostrzelany, chowaliśmy się pod prycze. Rozległy się głosy nawołujące do ucieczki, gdyż barak zaczął się palić, wołano również, że gaz, lecz był to dym z palącej się ropy lub benzyny i części baraku, który został oblatany tą cieczą łatwopalną. Co silniejsi wybili i wyłamali okna. Kiedy dowlokłem się zostając wypchany z baraku do drutów, widziałem leżących na nich i obok naszych kolegów, którzy torując nam drogę zostali zabici przez ostrzeliwujących ss-manów i pilnujący wraz z nimi "volkssturm". Druty nie były już pod prądem z pewnością w wyniku zwarcia, a może zbombardowania elektrowni. Kiedy wydostałem się za druty, po chwili poczułem iż zostałem ranny w udo lewej nogi. Chciałem zostać, lecz uciekający obok mnie dwóch współwięźniów, pomagając mi pomogli doczołgać się i wydostać z pola obstrzału. Niemcy bowiem szli w odpowiedniej odległości z boku obstrzeliwując nas. Kiedyśmy dotarli do przedmieścia Lipsk /Leipzig/ zauważyli nas żołnierze amerykańscy jadący dżipem, zabrali nas i odwieźli do polowego punktu sanitarnego. Posiadam wycinek z gazety niemieckiej wydawanej po wyzwoleniu, informujący o tejże zbrodni.

Nr. archiwum Gross-Rosen 3.17.3.8.

... ŻYŁEM! - TO BYŁ MÓJ PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI

Fragment wspomnień obozowych młodego harcerza - partyzanta

Po powrocie do Częstochowy zostałem aresztowany przez Gestapo dnia 15.10.1944 roku.

Po licznych torturach w Gestapo w Częstochowie, zostałem wywieziony wraz z moim stryjem, Stanisławem i kuzynem Zygmuntem Walaszczykiem, do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Jechaliśmy w wagonach towarowych, oczywiście zimnych /grudzień/ na klęczkach z zakutymi z tyłu rękoma.

Po trzech dniach "podróż" głodnych, zmarzniętych, wywleczone z wagonów i zagnano do obozu Gross-Rosen. Po przejściu bramy, na której widniał szyld "Arbait macht frei" nastąpiły rutynowe czynności esesmanów, związane z przyjęciem więźnia i zrobienie z niego "heftlinga". Były to: strzyżenie włosów, wygolenie paska przez całą głowę o szerokości 3 palców, szybkościowe mycie, zmiana ubrania i butów na obozowe oraz nadanie numeru, który od tej chwili stał się moim imieniem i nazwiskiem - 90224.

Następnie zostaliśmy zaprowadzeni do bloku nr 19, którego blokowym był znany powszechnie z brutalnego obchodzenia się z więźniami "Kwowy Marian". Po jakimś czasie byłem przeniesiony do innego bloku i przydzielony do pracy w kamieniołomach /noszenie głazów/ a później, do montowania drutów kolczastych przy powiększaniu obozu.

Pod koniec stycznia 1945 roku przewieziony zostałem do obozu w Gassen, filii obozu Gross-Rosen do pracy w fabryce przy montowaniu części do samolotów.

Obóz ten, wbrew nadziejom na lepsze okazał się piekłem! Odebrano odzież, pobraną w Gross-Rosen na to miejsce dano bardzo liche ubrania bez ocieplania oraz bieliznę już zawszoną.

Trwała zima, wielogodzinne apele, głód, mróz, wszy i bicia z byle powodów przez capo, blokowych, lagereltestra, oraz 12-godzinna praca w fabryce odbierały siły i zdrowie.

Pod koniec lutego 1945 roku kiedy to zbliżał się front wschodni nastąpił wymarsz obozu na zachód. To co przeżyliśmy podczas tej ewakuacji nie da się opisać. Absolutny głód, zimno, brak kwater na spanie, uciążliwy całodzienny marsz, podczas którego chorych i słabnących rozstrzeliwano, było powszechnym zjawiskiem. Po kilkunastu dniach marszu wpakowano nas do wagonów towarowych i przywieziono na rampę kolejową w Lipsku.

Wielu zostało na zawsze w wagonach a reszta, jeszcze żyjących, pomalutku noga za nogą, dowlokła się do obozu koncentracyjnego - filii Buchenwald w Lipsku. Otrzymaliśmy inną odzież z braku sił nie pracowaliśmy a głodowe porcje żywności przerywało bombardowanie Lipska, które jednak dawało nadzieję na przeżycie. W drugiej połowie kwietnia 1945 roku nastąpiła ewakuacja obozu na skutek zbliżającego się frontu zachodniego. Gнали nas raz w jednym, raz w drugim kierunku w zależności od sytuacji na froncie - i znowu to samo. Głód- spanie na nieczynnych boiskach sportowych, lub kamieniołomach, kładąc się do snu w trzech czterech, aby tylko było cieplej. Trwało to kilkanaście dni, aż do momentu, gdzie siły moje były u kresu

na skutek wysokiej gorączki, kłócia w boku /jak się później okazało zapalenie opłucnej/ i niesłychanego bólu w kolanach, przy każdym kroku.

Uciekłem - ale czy to można nazwać ucieczką odejście z kolumny w nocy w bok do lasu i z braku sił przewróceniem się? Kolumna odeszła, ja pozostałem nikt nie bił - żyłem! I to był mój pierwszy dzień wolności!

Po kilku dniach już po zakończeniu wojny, wraz z kilkoma uciekinierami, po licznych jeszcze przejściach, dotarliśmy do miasta Wurzel k/Lipska, gdzie zostałem przyjęty do szpitala miejskiego. Tam mnie wykupano, przebadano, prześwietlono, nakarmiono i pozostawiono do dalszego leczenia.

Jakimś jednak cudem, dowiedziały się o moim istnieniu w szpitalu byłe więźniarki obozów koncentracyjnych pochodzące z Częstochowy i od tej pory, całkowicie się mną zaopiekowały. One to, podjęły się trudnego zadania przewiezienia mnie nadal chorego do kraju, opiekując się mną w pociągu osobowym a następnie na skutek zniszczonego mostu kolejowego, ciągnąc na wózku kilkadziesiąt kilometrów, aż do przypadkowego pociągu towarowego, zdążającego w kierunku Ojczyzny.

Do Częstochowy przybyliśmy 1 czerwca 1945 roku i zostałem oddany w ręce zrozpaczonej a jednocześnie szczęśliwej Matki, która w trzydziestu kilku kilogramowym człowieku rozpoznała swojego syna. Leczenie moje trwa nieustannie.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.17.3.9.



23 września 1972 roku z inicjatywy uczniów Szkoły Zawodowej Fabryki Maszyn Budowlanych w Jasieniu wykonano pomnik wykuty z granitowej skały. W odsłonięciu pomnika uczestniczyła licznie młodzież miejscowych szkół, społeczeństwo, wojsko i ocaleni więźniowie obozu Gassen.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.17.2.4.